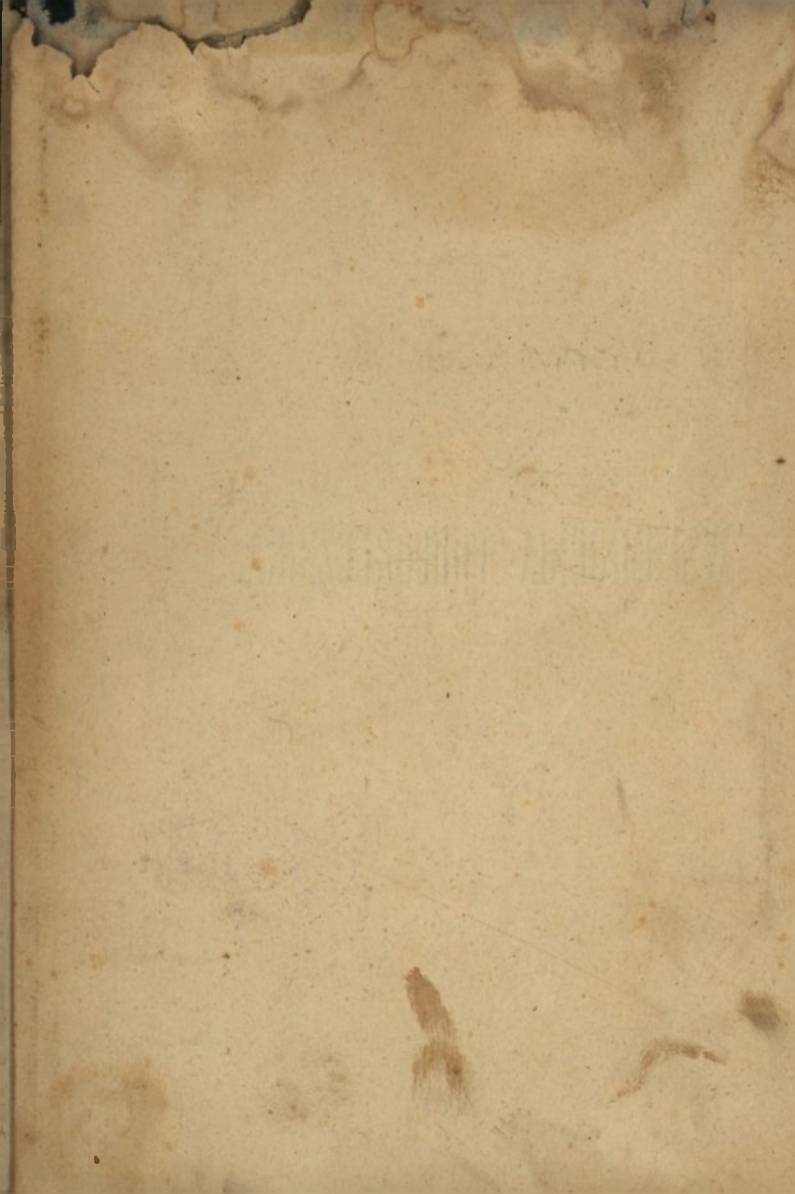


WSPOMNIENIA PODPORUCZNIKA.



10261p/40.

EZECHIEL BERZEWICZY.

# WSPOMNIENIA PODPORUCZNIKA

pułku jazdy wołyńskiej

z pod komendy

Karola Rózyckiego.



Bolesław Banach

WE L W O W I E 1876.

NAKŁADEM KSIĘGARNI WŁ. BEŁZY

(w hotelu George'a).



1000172199

A. 10221



Int. 10e

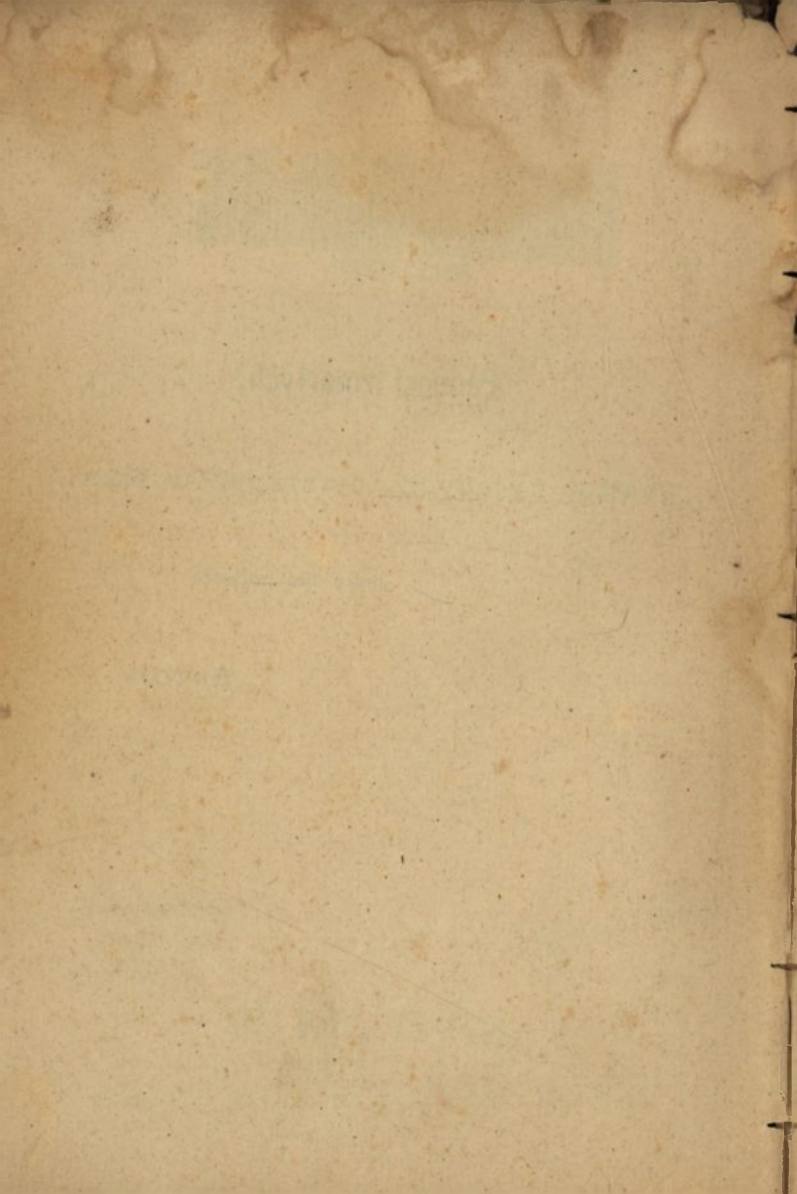
K 649/55/59

Pamięci zmarłych,  
garstce żyjących towarzyszków broni,

pracę swą poświęca

AUTOR

Besact



Czasopismo literackie „Tydzień“, zaraz w początkach swego istnienia umieszczało pamiętniki z roku 1831, pióra Ignacego hr. Komorowskiego, byłego adjutanta generała Samuela Rożyckiego, w którego korpusie również i ja, jako liczący się do pułku jazdy wołyńskiej Karola Rożyckiego służyłem. W pamiętnikach tych, które z zajęciem przeczytałem, znalazłem jednak wiele faktów albo niedokładnie podanych, bądź-też całkiem ominiętych; i w tym celu — tak dla sprostowania pierwszych, jak i dla uzupełnienia drugich, — jakkolwiek więcej z pałaszem niż z piórem spoufalony — puszczam w świat niniejsze moje wspomnienia, pewny, że wyrozumiały czytelnik wybaczy autorowi, a patrzeć raczej będzie na intencye starego żołnierza.

Sądzę również, że i moi koledzy z tegoż samego pułku, dziś w Galicyi zamieszkali, a to, Porucznicy: Seweryn Ostaszewski, Marcin Weleżyński,\*) Antoni Szaszkie-

---

\*) Marcin Weleżyński zgasł już po napisaniu tych pamiętników. — Pokój Mu! Był to nadzwyczajnej siły i nieustraszonej w boju odwagi żołnierz.

wicz i Podporucznik Anaklet Bohdanowicz, uznają za słuszne niniejsze moje sprostowanie: zwłaszcza, że późniejszy historyk opisując te różne dość dziwne zdarzenia, narazićby się mógł na podejrzenie o przesadę. Niech więc dopóki czas, powstaną żyjący świadkowie tej wielkiej epopei — i głosem swoim dadzą świadectwo prawdzie.

Pozwólcie jednak czytelnicy, że służąc z samego początku mojej wojskowej kariery przy piechocie, w korpusie generała Dwernickiego, wspomnę naprzód o wypadkach tegoż korpusu, zanim przejdę do właściwego toku niniejszego opowiadania. — Lecz, że jako szeregowiec, nie mogłem wiedzieć ani o planach strategicznych ani o rozkładach naszych wojsk, przeto jeno o tych wydarzeniach mówić będę, w których albo sam udział brałem, albo też mam je z ust wiarogodnych osób; a które, że są nieraz dziwnej i niezwykłej natury, sądzę więc, że młodsze pokolenie mogą cośkolwiek zająć, a nawet pouczyć...

Po tym wstępie — wchodzę odrazu in medias res.

---



## I.

### W pierwszym ogniu.

Wiadomość o rewolucyi listopadowej wywołała powszechny entuzjazm! Któremuż na ten odgłos od krańca do krańca Polski nie zabiło serce goręcej? Któremu z młodzieży krew nie zawrzała? Nie było prawie dworu — nie było dworku, by kogoś nie żegnano i powodzenia nie życzone; wszystko gotowało się do wyjścia. Starsi i zamożniejsi jedni po drugich przekradali się przez granicę; młodszy powstrzymywani w domu — różnymi sposobami uciekali od rodziców, aby tylko wziąć udział w świętej walce o niepodległość. Żadne perswazyje tu nie skutkowały; wszystko dążyło lub lada chwilę dążyć miało ku północy!...

Mnie wyprawiał mój dobrodziej i opiekun, u którego w on czas bawiłem, — obywatel i patrijota rzadkich cnót i poświęcenia ś. p. Grzegorz Bohdanowicz.\*) Z jego domu wyruszyłem w pier-

---

\*) Od najmłodszych lat moich, bez rodziców i familji, doznawałem szczególnej opieki i troskliwości w domu śp. Grzegorzostwa Bohdanowiczów. — Stałem się prawie

wszych dniach kwietnia zaraz po świętach wielkonočných, porozumiawszy się wprzódy jeczcz z sąsiadem Rafałem Mierzyńskim b. kawalerzystą wojsk austryjackich, do którego się udałem i skąd razem w drogę postanowiliśmy wyruszyć.

Drugiego dnia po Wielkiejnocy, po mszy świętej, odprawionej w domowej kapliczce na intencyę dobrego powodzenia i szczęśliwego powrotu, po rzewnem pożegnaniu siostry Rafała: podniesieni na

---

członkiem ich rodziny. — W ich to domu, jako młody, skłonny do przyswajania sobie wrażeń z otoczenia, miałem wzory cnót, — nauczyłem się uwielbiać wszystko co wzniosłe i szlachetne, — i może temu zawdzięczać miałem, że na odgłos o Rewolucyi i we mnie chęć poświęcenia się za ukochaną Ojczyznę zawrzała! A gdym ten zamiar moim zacnym Opiekunom odkrył, po małym przedstawieniu „czyli moje siły wystarczą?“ hojnie, jak syn wyprawiony zostałem. — Owa chwila pożegnania, gdy mi ta zacna Matrona u nóg klęczącego ze łzami w oczach błogosławiła, i na szyi śś. relikwie jako talizman od kul zawieszała, tak żywo tkwi mi dziś w pamięci, że puszczać wodze rozrzewnionemu uczuciu, widzę, jak pomimo woli od wspomnień wojennych odstępuję... Takich cnót ludzi, cnót wygasających już, należy podać pamięci potomnych! — Niech więc te parę słów o Nich stanowią Pomnik który dla nich przepelnione wdzięcznością serce stawia. A ty szanowny Czytelniku, wybacz to zboczenie i westchnij ze mną za wieczny spokój dusz czystych i wysokich.

duchu jej uroczystem przemówieniem, „aby nas Pan Bóg do zwycięstwa powiodł i pozwolił jej witać nas z powrotem jako zwycięzców ozdobionych krzyżami,“ — wyjechalismy na wojaczkę.

Pod tę porę wyszedł był generał Dwernicki ze swym korpusem z Zamościa i ciągnął wzdłuż granicy Galicyjskiej na Wołyń. Dążyliśmy więc oba do niego, odsyłani pocztą obywatelską od stacyi do stacyi, a w Byszowie, wiosce nadgranicznej Babeckiego, połączywszy się ze znajomym nam Stanisławem Olszewskim i innymi kolegami, przeszliśmy granicę tylko przez wieśniaków strzeżoną. W sąsiedniej wiosce, mieszkał dzierżawca Jaworski, do którego nocą już zawitalismy i ten uwiadomił nas, że generał Dwernicki ze swym korpusem w Drużkopolu o milę stąd odległym, obozem stoi. Pocziwy szlachcic odesłał nas w kierunku powyższej miejscowości, a patrolujące oddziały wojska naszego, zetknąwszy się z nami, przyprowadziły nas do obozu.

Rafał i ja mieliśmy myśl wstąpić do kawalerji, — Stanisław Olszewski zaś jako infanterzysta Austryjacki — do piechoty. Pierwszemu dano jako byłemu wachmistrzowi od Ułanów dobrego konia, mnie zaś przeznaczono konia odesdnionego i leniwego; wolałem więc razem ze Stanisławem zacią-

gnąć się do piechoty — i wstąpiłem do 12tej kompanii 6go pułku jako szeregowiec.

Dowódcą mego batalionu był major Kruszyński, kapitanem Bartkiewicz, porucznikami Laguna i Święcicki. Najważniejszą jednak dla mnie osobistością w tej kompanii był podoficer Popiel,\*) który luboć młody, ledwie 19 lat tak jak ja liczący, był już starym żołnierzem, — jadał chleb jak to mówią nie z jednego pieca, i moskałom już nieraz w oczy zaglądał. Utworzył się więc między nami jako rówieśnikami stosunek ścisłej przyjaźni. — Przez niego byłem jako nowicyusz w różnych okolicznościach informowany — on był w pierwszych chwilach moim opiekunem; radził, wspierał gdzie i jak mógł, jednym słowem, był dla mnie pożądanym mentorem.

Szczególny był to chłopiec ten Popiel! Miewał on jakieś przeczucia, dosyć często sprawdzające się; — przepowiadał naprzód jaką noc lub dzień następny mieć będziemy, t. j. czy będziemy przez wrogów niepokojeni lub nie. Pozornie zdawałoby się że mając uwagę zwróconą na mniejsze lub większe oddalenie nieprzyjaciół od nas — wcale nie trudno odgadnąć, czy atak nastąpi lub nie? A jednakowoż niejednokrotnie widzieliśmy, że mo-

---

\*) Popiel, jak slyszalem żyje jeszcze w Kongresówce.

skale są tuż koło nas, a on kładł się spać z całym spokojem, zachęcając i mnie do spoczynku; gdy przeciwnie, widząc wroga daleko, niekładł się, lecz całą noc chodził dobrowolnie — jako ochotnik z patrolami przeczuwając napad, który istotnie często miał miejsce.

Po parodniowym marszu stanęliśmy obozem pod Boremlą, skąd nieprzyjaciel za rzekę Styru uszedł. Znużony i zgłodniały poszedłem zaraz wprost do pałacu Czackiego, nieczekając na ugotowanie czegoś w obozie, — lecz zamiast jadła znalazłem lamus otwarty pełen miodu toczonego dla wojska. Smaczny ten trunek daje się pić zwłaszcza przez zgłodniałego i spragnionego, — piłem go więc z ogromnej blaszanki nieco za wiele, w skutek czego wracając do obozu, ledwie na nogach utrzymać się zdołałem. Zgorszył się Popiel moim stanem i ledwie go uspokoiłem obietnicą, że więcej tego nie będzie; — „masz jeszcze szczęście, powiada — bo prawdopodobnie będziesz tę noc spał spokojnie.“

Miasteczko Boremla leży na wzgórku po prawym brzegu rzeki Styru, — wzdłuż lewego zaś ciągną się trzęsawiska i błota zarosłe trzcinami, mniej więcej na pięćset sążni szerokości. Za wspomnionymi błotami w wyższym już położeniu stoi las dębowy, przecięty prostym gościńcem, którego

przedłużenie stanowi grobla idąca przez powyższe błota. Grobla poczyna się od mostu pod górą, nad którą dominuje pałac Czackiego. Otóż tą groblą i lasem, pod którym stoi wspaniały murowany browar, maszerował drugiego dnia po przyjsciu do Boremli nasz batalion wysłany na placówkę.

Las przecięty gościńcem obejmował dość znaczny obszar i niedaleko brzegu znalazłszy karczemkę z roгатką, ulokował się batalion na placówkę; — wedety zostały przeciw nieprzyjacielowi ustawione, broń przejrzana i resztę dnia spędziliśmy na spoczynku i gotowaniu przysmaków wojskowych, bawiąc się wesołą pogawędką pomimo bliskości nieprzyjaciela, którego ognie rozpalone wieczorem widzieliśmy stąd niedaleko.

Kolega mój Popiel cały dzień wesół, sposepniał pod wieczór, przepowiadając atak moskali na rano. — Jak wyżej mówiłem, skoro miał przecięcie bitwy, czuwał sam po całych nocach, — dziś więc zaprosiwszy mię do towarzystwa, prosił kapitana, aby mu pozwolił, prócz zwykle wysłanych patroli, kontrolować drobne posterunki i wedety. — Chodziliśmy więc prawie noc całą, znalazłszy wiele niedostatków, które natychmiast staraliśmy się usunąć. — Niektóre wedety bowiem (byli to przeważnie młodzi rekruci) nie znały hasła, niektóre zdaje się spały, ponieważ nas bez zapy-

tania przepuszczały, a co najważniejsza, znaleźliśmy miejsca nicobsadzone wedetami, któremi nieprzyjaciel bez spostrzeżenia mógł do naszej placówki wtargnąć.

Usunąwszy ile możności wszystkie odkryte braki, bądźto przez pomnożenie, bądź zmianę niektórych wedet, zmęczeni, położyliśmy się na spoczynek dopiero około 3ciej nad rankiem. Lecz nie długie było nasze spanie. — Strzały od strony wedet, głosy „do broni!“ zaalarmowały w jednej chwili obóz!

Zerwałem się, jak gdyby moskal już nam na karku siedział i nie wiem, czyli wskutek chłodnego poranku czyli ze strachu, dość że niemilosiernie począłem dzwonić zębami... Wstyd mi było, nie wiedziałem co robić z sobą, aż tu patrzę, i moi koledzy w szeregu nie mniej odemnie trzęsą się jak w febrze. Pojąłem więc, że to niebył sam strach, — bo przecież w koło mnie stali i starzy żołnierze, którzy już niejednokrotnie moskalom w oczy zaglądali.

Lecz nie było czasu myśleć o bagatelach! — Batalion porządkował się szybko i szarże rozkazywały zabierać rzeczy obozowe. Popiel jako podoficer kazał również zabierać kotły, które koleją żołnierze nosili, i wszystkie były już przytrokowane, tylko do jednego nikt przyznać się niechciał.

Badać, na kogo kolej nieść nie było czasu; zmusił więc Popiel pierwszego lepszego rekruta płazem pałasza do zabrania go, i ten z rzewnym płaczeniem tłumacząc się, że ubiegłego dnia również kociołek dźwigał, przytrokował go otworem na zewnątrz u tornistra.

Tu muszę wspomnąć, że dębina ciągnąca się od brzegu błót Boremelskich, po prawej ręce gościńca aż do karczemki, pod którą nasz batalion nocował, nie była krzakami podszyta, — cała zaś lewa strona wzdłuż gościńca, jak również i prawa począwszy od karczemki ku nieprzyjacielowi przedstawiała grubą ścianę utworzoną przez gęste krzaki leszczyny.

Batalion uformowawszy się, wyszedł na brzeg lasu, gdzie ujrzeliśmy zbliżające się kolumny moskiewskie. Zadaniem naszym było, wstrzymywać nieprzyjaciela w pochodzie, i w skutek tego, ustawił dowódzca batalion za drzewami, z poza których z łatwością bez narażenia naszych na znaczne straty, wroga razić było można. Nie długo czekamy: strzał skrajnej wedety na prawo, właśnie tej, którą Popiel ustawił, zwrócił uwagę naszą w tę stronę, gdzie spostrzegliśmy kolumnę moskiewską piechoty, która od pola w las wkraczała, widocznie dla zabrania nam tyłu i odcięcia odwrotu ku Boremlu. — Ażeby się zabezpieczyć, wrócił batalion do kar-



czemki, po za którą po prawej ręce rzadka dębina zaczynała się; z tego stanowiska spodziewaliśmy się zoczyć okrążającą nas kolumnę.

Zformowani na gościńcu prostym i szerokim, oczekiwaliśmy nieprzyjaciela, który też niebawem dał znak życia. — Nie wyszedł on jeszcze na rzadką dębinę, ale gęstwiną, pod którą staliśmy dążył prosto ku nam, i w niewielkiem oddaleniu wrzasnął całym pułkiem „Hurah! Hurah!”

Zjawienie się moskali znienacka tak blisko od strony najmniej spodziewanej, jak również wrzask przeraźliwy całego pułku, sprawił w naszym prze-ważnie młodym batalionie taki popłoch, że nie-widząc jeszcze moskali, zwrócił się i począł w prze-ciwną stronę ku naszemu obozowi bez ładu uciekać. „Stój! stój!” wołali wszyscy komendanci — później wszystkie szarże — nakoniec wszyscy „stój” krzy-czeli, ale nadaremnie; batalion niestety byłby haniebnie z pola walki bez strzału uszedł, gdyby nie prosty żołnierz podeszłego wieku, któremu udało się pierzchających powstrzymać perswazyą w moskiewskim języku — wołając „*pastoj! pastoj! nie haraszo!*” — Wyskoczywszy naprzód, — wstrzy-mywał uciekających swym karabinem, trzymając go na poprzek szeregu, a przytem przekonywał: „*To duraki! Czto wy opasajeties toj drani! ani trusiat', tolko szumom da krykom atliczajutsia!*” —

I to pomogło! — Batalion zawstydzony stanął i odtąd więcej nie pierzchał. Jak się dowiedziałem, był to dezerterski moskiewski już w polskim mundurze.

Wkrótce pokazała się kolumna w wskraju gęstwiny; — gęsty, karabinowy ogień rozpoczął się, a ja wtenczas odwiódłszy kurek mego bardzo długiego karabina chcę strzelać, ciągnę jednym, później dwoma palcami — daremnie, zamek popsuty. Kapitan Bartkiewicz widząc mię beczynnym zapytał o przyczynę, — a gdy mu powiedziałem, że kurek odwiedziony w żaden sposób spaść nie chce, porwał od innego żołnierza karabin i dał mi go suponując zapewne, że lepiej strzelać potrafię od owego rekruta. Strzelałem więc, ale Pan Bóg wie którądy kule leciały! — Widząc bowiem tysiące karabinów nieprzyjacielskich ziejących ogniem naprzeciw nam, mimowolnie mróżyłem oczy — i na oslep strzelałem.

Przyznać się muszę, że chrzest ten pierwszy był dla mnie okropny. Straciłem przytomność, a gdy zabitego żołnierza zobaczyłem, zrobiło mi się słabo — ledwie że nie omdlałem i przestałem strzelać. Pocciwy Popiel, chociaż zajęty strzelaniem, spoglądał na mnie i zobaczywszy a może przeczuwając stan mój „wódki się napij!“ krzyknął, „a nie zapomnij o naszej umowie!“ Pociągnąłem tedy z manierki, mdłości ustąpiły, i duch we mnie wstąpił.

Umowa, o której wspomniał Popiel wiązała nas obu: treść jej była, że gdyby którykolwiek z nas został ranny lub zabity, drugi obowiązał się wynieść go na barkach, ażeby żaden czy to żywy czy zabity, nie wpadł do rąk moskiewskich.

Po pociągnięciu wódki mierzyłem i strzelałem dobrze bez najmniejszego lęku i z oczami szeroko otwartymi. Tysiące kul, które jak grad gęsto leciały, a których przedtem w bezprzytomności nie uważałem, obecnie każdą prawie styszałem i trafioną odróżniałem.

Powoli ustępując, przyczem niejednokrotnie kolumnę moskiewską do stu kroków przypuszczaliśmy, cofaliśmy się szerokim gościńcem w porządku, strzelając bez wytchnienia do kolumny moskiewskiej rzadką dębiną za nami postępującej; — lecz w niewielkiem oddaleniu już od moczarów spostrzegliśmy, że mało nabojów w ładownicach mamy a rozejrzawszy się po szeregach, spostrzegliśmy, że i garstka nasza najmniej o jedną trzecią części się zmniejszyła.

Wyszedszy z lasu ujrzelśmy batalion piechoty, który groblą szedł nam w sukursie; wstrzymujemy się więc puszczać świeże wojsko nasze naprzód; batalion zbliża się coraz więcej do nieprzyjaciela, który już także z lasu wyszedł i był blisko browaru — i w oddaleniu kilkudziesięciu

kroków stanął. — Obie kolumny zmierzyły do siebie i dały ognia. Dowódca świeżego naszego batalionu kapitan Gzowski, na którego oczy miałem zwrócone, padł, lecz został natychmiast przez żołnierzy podniesiony (jak się później okazało, otrzymał był tylko kontuzję w skroń) a batalion zawrócił wtył i począł cofać się wolno. Po tem, obydwa bataliony — z naszym na przedzie cofały się w porządku, ową groblą przez moczary, która w prostej linji ku pałacowi Czackiego prowadzi.

Nie wiem co się za nami działo. — Moskale, których był pułk cały, usiłowali zapewne uchodzących przesładować, lecz w tym momencie gęste strzały działowe z pod pałacu Czackiego, zmusiły ich do zaniechania tego zamiaru. Batalion nasz, przeszedłszy groblę pomaszerował przez miasteczko do obozu, pozostawiwszy dla asekuracyi mostu u podnóża góry — 12tą kompanię t. j. tę właśnie, do której się liczyłem.

Uszczuplona nasza kompania opatrywała teraz swoje ładownice, z których już tylko po kilka ładunków wyglądało; — z luf zanieczyszczonych od mnogich strzałów kapała czarna posoka, my zaś wszyscy wyglądaliśmy jak węglarze; — podczas tego ów żołnierz, płazowaniem do przytrokowania kociolka przymuszony, przypadł do Popiela, a całując go po rękach pokazał kociół, na dnie któ-

rego kula nieprzyjacielska wycisnąwszy dołek, ugrzęzła. — Kocioł więc uratował mu życie!

Byliśmy pewni, że nieprzyjaciel został w lesie i da nam chwilę spokoju, gdy na gościńcu z lasu dębowego, który dopiero opuściliśmy, okazały się gęste kłęby dymu, poczem w krótkce nastąpił huk strzałów armatnich, a stąd zamieszanie pomiędzy nami, — kule bowiem i granaty gęsto zaczęły padać w około. Było tak mój, jak również niejednego z nas pierwszy chrzest grubszego kalibru; — niedziw więc, że za każdym okazaniem się dymu oddawaliśmy plackiem pokłon wrogom. — Perswazyja i rozumowanie nic tu nie pomoże, — ze strzałami trza być oswojonym, by stać jak dąb niewzruszenie. — Pocieszało nas jeno, że prawie wszystkie kule bądź w rzekę Styry, w której pękające granaty podnosiły bałwany wody na kilka sążni w górę, bądź też przenosiły nas, lub dzwoniły o trzcinę. Lecz i bateria polska zasłaniająca odwrót naszych batalionów do Boremlu, dowodzona przez majora Puzynę, niepróżnowała. Ustawiona pod pałacem Czackiego na wzgórkcu, słała do baterii moskiewskich swe kule i już za trzecim strzałem demontowała jedną armatę wrogom; w krótkce wysadziła jaszczyk w powietrze i wtedy moskale widząc i czując nasze celne strzały, cofnęli się w głąb lasu. Odtąd straciliśmy ich z oczu, lecz kanonada

przeważnie skierowana ku baterjom, jak również rzadkie strzały karabinowe pochodzące od kilkudziesięciu moskali zaczajonych w trzcinach, trwały prawie do wieczora. Druga bateria nasza pod dowództwem kapitana Frellicha brała również udział w bitwie, lecz po cofnięciu się moskali w głąb lasu, nie mogliśmy skutków dojrzeć. Z naszej strony nie wiele nam szkody moskale wyrządzili. Pałac tylko hr. Czackiego był od kul armatnich bardzo uszkodzony; i takim zostawił go właściciel, przyłączając się do naszych szeregów po owej pamiętnej dla mnie kanonadzie.

Jak to już wyżej wspomniałem, moskale wlaższy w trzcinę, bezustannie nas stamtąd, acz nie bardzo szkodliwie razili. Wysyłano kilkakrotnie do wyparowania ich stamtąd, lecz ekspedycje takie wracały w krótkce nic nie zdziaławszy, unosząc tylko pomiędzy sobą lekko i ciężko rannych kolegów.

Tu wspomnąć mi wypada o naszym koledze Stanisławie Olszewskim, byłym infanterzyscie austryjackim. Stanisław był odważnym i lubionym żołnierzem, ale w tej nieszczęśliwej służbie austryjackiej nauczył się za często zaglądać do manierki a miał ją potężną; prawie też nigdy nie był trzeźwy, a w rozmowie niemczyzną lubiał się popisywać.

Po jednej z takich jak wspomniana ekspedycyi ochotników, gdy ci dwóch rannych kolegów z sobą przyrowadzili, Stanisław oburzony zawołał: „Ja teraz sam na tych hultajów pójde! a zobaczycie, że ich stamtąd wykurzę.“ — „*Ich werd' euch lehrnen, ihr Hundskanalie!*“ — W początku myślałem że żartuje, lecz gdy zobaczyłem że się wybiera, starałem się go odwieść od tego zamiaru, ale to nic nie pomogło, — porwał karabin, i z ogromną swoją manierką poszedł. — Na razie zaraz musiał się wystawić na niebezpieczeństwo: — trza było bowiem most wyżej nieco położony przechodzić, a gdy się tylko kto na nim pokazał, gęste strzały z trzciny go witały. Z naszych ochotników, każdy chyłkiem pojedynczo most przebiegał, — Stanisław jednak nietylko że niebiegł, lecz stanął na środku mostu strzelając w trzcinę, skąd kilkanaście strzałów do niego mierzonych padło, żaden jednak nie trafił go. Później przeszedł most z wolna i znikł w trzcinach. Szalony! pomyślałem, przepadł oczywiście — i żeby choć tę manierkę był zostawił, bo i tak ma dobrze w czubku!

Już zaczynałem się niepokoić, bo ze dwie godziny Stanisława widać nie było, — aż nareszcie wraca cały zabłocony, obdarty, podrapany na twarzy i ciele (zapewnie drapiąc się przez trzciny) litość brała patrzeć na taki stan jego. — „Kochany Stasiu!

cożes ty z sobą zrobił? a maszże ty w co się przebrać?“ pytałem. „To wszystko dzieciństwo! a co? nie mówiłem, że ich wykurzę, i wykurzyłem,“ odpowiedział — „ilu zastrzeliłem, tego nie wiem, ale na końcu jednego na rożen wziąłem aż mi się złamał,“ i pokazał złamany bagnet istotnie. „*A! ihr Lumpenbagaye!* To nie z Maćkiem sprawa!“ mruzczał sobie pod nosem.

Nie wiem, ile tam w tém prawdy było, ale strzały istotnie ustały.

Należy mi jeszcze w tém miejscu o jednym pięknym strzale karabinowym nadmienić. Już pod wieczór przyszedł do nas z obozu stary kawalerzysta szaser, prosząc kapitana, by mu pozwolił choć raz do tych „juchów,“ jak się wyraził, strzelić. Kapitan nie wzbraniał mu strzału — ale, do kogo? zapytał — nawet z trzciny już nie strzelają. „Widziałem ja ich aż czterech stojących na mostku obok browaru,“ odpowiedział szaser. — „Ale to bardzo daleko! więcej jak tysiąc kroków,“ rzecze kapitan. „To nic nie szkodzi, będę probował, strzelało się nieraz tak daleko.“ — Wybrał sobie próżny karabin, sam go nabił, przeskoczył przez parkan do ogrodu pałacowego, wybrał drzewo z odpowiednią do oparcia gałęzią i mierząc do owych czterech ludzi na mostku, których w innym razie nawet nie możnaby poznać że to są żołnierze,



wypalił. Jeden z nich, jakby piorunem rażony, padł natychmiast a trzech pozostałych porwało go i zaniosło do browaru. Huczne brawo! krzyknęła kompania szaserowi, a kilku z nas złożywszy się, dało mu w złocie upominek.

Na tém samem miejscu, na bitej drodze pod parkanem ogrodowym przenocowaliśmy spokojnie, i rano nie przebudził nas alarmowemi strzałami jak dnia wczorajszego. Moskale krzatali się koło browaru ciągle, a na lewo w oddaleniu może ćwierćmilowem, słyszeliśmy ich śpiew melodyjny złożony z chóru przynajmniej tysiąca głosów. Popiel twierdził, że poszli przeprować się przez Styr.

Ten dzień, 19go kwietnia był dla mnie uroczystym, — awansowałem bowiem na podoficera i zmieniłem mój cywilny tużurek na nowiuteńki podoficerski mundur z galonkami, kupiony za kilka dukatów od kolegi. Awans ten mój, chociaż nie odwadze mojej, tylko stracie dwóch podoficerów w owej dębinie zawdzięczałem, — cieszył mnie jednakowo — bom się przekonał, że nikt, oprócz Popiela, mojej słabej strony dnia wczorajszego nie spostrzegł. Wstydzilem się tego w duchu i odtań, przebrany w mundur, z Popielem w zawody na kozaków jako ochotnik chodziłem.

Rozpoczynając moje urzędowanie podoficera, poszedłem około południa z Popielem do miasteczka

w celu spisania listy naszej kompanji. Podczas pisania, zagrzniały działa moskiewskie od strony browaru, wybiegliśmy więc na dwór i spostrzegamy naszą kompanię maszerującą gęsiego po obu stronach gościńca ku miastu, którego środek kule ze wszystkich stron padające zasiewały jak grochem. Przewidział kapitan Bartkiewicz w jaką matnię bylibyśmy wpadli, gdybyśmy kolumną maszerowali, i zrobił moskalom figla rozkazując naszym żołnierzom iść pojedynczo po pod płoty, — armaty bowiem nieprzyjacielskie ustawione już naprzód ku gościńcowi prosto w górę ciągnącemu się, nie czyniły nam obecnie żadnej szkody. Ruch ten naszego wojska, wywołało nagłe okazanie się całej armji moskiewskiej, która przeszedłszy Styr, tyłom naszym zagrażała, i gdy za miasto w pole wyszliśmy już cała ich linia bojowa na strzał armatni ku nam postępowała. Dziwiło mię to mocno, dlaczego z uszykowaniem korpusu naszego aż do tej chwili ociągano się!

Złączywszy się z batalionem, do którego należeliśmy, utworzono z batalionu lewe skrzydło linii bojowej. Czworobok nasz wzięty zaraz we dwa ognie działowe, jeden od browaru, drugi od armii, musiał być w celu uniknienia strzałów w bezustannym ruchu. Szwadrony jazdy naszej przybywały klusem z miasta na lewe nasze skrzydło i ledwie

która dywizya we front się sformowała, już kule działowe wpadały w pośrodek. Nie czas więc zatrzymywać się choćby chwilę — szarże po szarzy następowały. Kawalerya ustawiona na naszem skrzydle uderzyła na pułk tabaczkowych dragonów moskiewskich — i w jednej chwili pułk został rozbity i prawie zniszczony; — druga szarża na prawem skrzydle wykonana na armaty, podobnoś przez naszą dywizyę gwardyi czwartego i dywizyę ułanów pierwszego pułku udała się równie świetnie; zdobyto bowiem mimo gradu kartaczy i godnej pochwały dzielności pułku czerwonych huzarów moskiewskich broniących swojej bateryi, ośm dział i zabrano wiele jeńców i koni.

Nie tak powiodła się szarża kawaleryi na armaty w centrum — tu bowiem, jeśli się nie mylę szwadrony czwartego pułku ułanów, przyjęte gradem kul kartaczowych, zostały ze znacznemi stratami odparci. W tej szarzy (mówiono mi) padł koń pod jenerałem Dwernickim, i gdyby nie porucznik Baum, który jenerałowi swego konia podał, byłby zginął lub dostał się do niewoli.

Wracam jeszcze do szarzy naszej kawaleryi lewego skrzydła na tabaczkowych huzarów, na którą nasz batalion z bijącym sercem i z modlitwą w duszy patrzył. Był to widok tak wspaniały i malujący dzielność naszego wojska, że każdy z nas

zachwycony, pomimowoli „to sami bohaterowie!“ zawołał.

Jak wyżej powiedziałem, że ledwie się front naszej kawaleryi wyrównał, już kule wpadały do niego, a ledwie druga kula pod nogami koniom się zaryła, już hufiec nasz z dowódcą o kilkanaście kroków na przedzie, w początku klusem, później *en carier* na dragonów poleciał. Po uderzeniu obu stron wojujących w największym pędzie na siebie, powstało niesłychane zamieszanie — a konie wybiegające wolno lub z jeźdźcami wlokącymi się u strzemięcia oddzielały się od tego zgielku tworząc na stronie jak gdyby stado rozhukanych tabunów. Tak trwało chwil kilka — później wrzawa osłabła, (bo niejeden głos zamilkł) — i zgielk ów w przeciwną stronę usunął się — a za nim, smutny wprawdzie, lecz dla nas pocieszający przedstawił się widok: pobojuwisko zasłane gęsto trupami nieprzyjacielskimi tabaczkowej barwy, gdzie indziej tylko przegrodzone trupem naszego żołnierza, liczbą nieprzyjaciół świadczyło o naszym tryumfie.

Gdy w tę stronę, upojony rokoszą z bijącym sercem patrzyłem, spostrzegłem jeźdźca jakby wystrzelonego z tego huraganu i pędzącego wprost ku nam. — Był to nasz dzielny belwederczyk W ysocki, z pałaszem w ręku krwią wrogów zbroczonym! Przywiózł on rozkaz generała, uderzenia

bagnetem na piechotę moskiewską uformowaną w czworobok na lewym skrzydle i do wyparcia jej z zajmowanej pozycji.

Major Kruszyński przemówiwszy do nas, zakomenderował: — „Batalion! lewe ramię naprzód! marsz!“ — Oddaj się Bogu! pomyślałem, i na myśl mi przyszła manierka. Popielu kochany! czy nie napijemy się wódeczki? „Oszalałeś? tu trzeba największej przytomności! Staraj się tylko nieodłączać od masy wojska, — z resztą w Bogu nadzieja! nic nam nie będzie!“ odpowiedział.

W połowie drogi, gdy przechodząc przez przedmieście ostatnie domy mijaliśmy i już pole bitwy leżało przed nami, lunął tak gwałtowny deszcz, że światła widać nie było. Zmokliśmy też do nitki, i w takim stanie wypadało nieprzyjaciela tylko bagnetem z pozycji spędzać, strzału bowiem nikt nie był w stanie zrobić; — przygotowani na wszystko, wychodzimy w pole i z radością spostrzegamy, że moskale korzystając z deszczu, cofnęli się przed nami.

Zostaliśmy więc panami placu bitwy — mając przed sobą puste pole zasłane trupami i rannymi. Deszcz nam z nieba zesłany, nie był zapewne przez nikogo tyle pożądany ile przez nieszczęśliwych rannych, którym zmywał i chłodził potrzaskane części ciała. Okropny był to widok! Patrząc na tyłu przed

chwila jeszcze zdrowych i dziarskich ludzi, obecnie kaleków, bez nóg, bez rąk na przescieradłach znoszonych z placu walki a przez upływ krwi do nieboskich stworzeń raczej niż do ludzi podobnych, — krajał serce choćby najobojętniejsze. Zresztą, była radość z powodu zwycięstwa ogólna, a dla naszego batalionu tém większa, ile, że się bez ataku na bagnety obeszło.

Na noc został batalion nasz na placówce pod kościołem na obmurowanym cmentarzu, leżącym jakby wedeta na samym krańcu miasteczka, i dominującym nad pobojuwiskiem. Tu spostrzegliśmy, że kilka kul moskiewskich rzuconych na kościół, uszkodziło wieżę.

Ledwie świtać poczęło, zakomenderowano „do broni!“ Tą razą nie było sporu o przytrokowanie kociołków, każdy brał je z chęcią jako talizman przeciw kulom nieprzyjacielskim. — Wyszliśmy w pole dążąc w stronę, w którą nieprzyjaciel wczoraj uszedł, — lecz wojska naszego jeszcze nie zastaliśmy. Uszedłszy blisko ćwierć mili, mogliśmy dojrzeć liczną armię moskiewską, wprost ku nam się posuwającą. Uformowani w czworobok stanęliśmy, oglądając się za naszym korpusem, lecz nadaremnie. Czyliż mianoby nas poświęcić dla wybawienia reszty wojska? Niepokój ogarnął nas! W tem nadleciał adjutant z rozkazem cofania się

ku Beresteczkowi, dokąd korpus już poszedł, zostawiając nasz batalion jako straż tylną. Podwójnym i potrójnym niemal krokiem szliśmy przez miasteczko w kierunku wskazanym i na wzgórzu dopiero za Boremlą spostrzegliśmy nasz korpus w pochodzie. Żołnierze widąc uradowani tą rejteradą tem więcej że moskale daleko za nami pozostali, zaczęli być weselsi, — jedni nucili ulubioną piosenkę „Nasz Dwernicki żołnierz dzielny śmiały,“ — drudzy opowiadali różne wojskowe anegdotki, nareszcie odezwał się jeden mazur: „Ot szkoda! że nie ma naszego Niemca!“ — Struchlałem, ponieważ niemcem przewali naszego kolegę Stanisława. — „A gdzież on?“ zapytałem. — „A na cmentarzu, zapewne jeszcze spi,“ odpowiedział jeden. „Czemżeście go nie zbudzili?“ „Wszak my go budzili, ale on na nogach utrzymać się nie mógł.“ „To na plecach trza było go zabrać: — ach, hultaje niewdzięczni! kupował wam piwa, sprawiał niejednemu buty, a wyście go tak haniebnie zostawili, jakby on nie był polakiem i naszym kolegą, żołnierzem! To się nie godzi!“ „A wsak ci on niemiec,“ odezwał się jeden nawet ze starszych, — a drudzy śmieli się jakby z dowcipu.

Niemiec u mazura, to coś bardzo podłego być musi; — przypominam sobie bowiem, że gdzieś czytałem o sprawie toczącej się przed sędzią, który

pytał mazura, za co tak ciężko sąsiada pobili?  
„Proszę Wgo sędziego: póki mi gadał, złodzieju, łajdaku, hultaju, wszystko cierpliwie znosiłem, ale jak mi powiedział zem niemiec, to już tego było za wiele i palnąłem go w gębę.“

Przyczyna, dlaczego Stanisława niemcem zwali, była ta, że często pozwalał sobie komenderować kompanią w tym języku z nawyknięcia w austryjackiej służbie. — Kapitan delikatny, nic mu nie mówił, a żołnierze śmiali się z niego jakby z komedjanta.

Przykro mi za nim było, ale sam sobie winien. — Unikał bowiem lepszego towarzystwa, z przyczyny zapewne nieszczęśliwego nałogu i tylko z żołnierzami jadł, pił i spał — i to go właśnie zgubiło! Moskale postępując za nami, zastali go jeszcze śpiącego na cmentarzu. Nie zrobili mu nic złego jak słyszałem, bo ledwie się przebudził i swoje położenie poznał, już z owej manierki, wieczni-napelnionej — w ich ręce dudłał, — Podobał się więc niepogardzającym również jak on wódką moskalom, którzy pili z nim wódkę, ale dukaty mu zabrali....

Po bitwie, choćby nawet wygranej, pochód wojska w skutek znużenia nie przedstawia się tak wesoło jak to zazwyczaj bywa; a cóż dopiero w rejteradzie, gdy za plecami ma się nieprzyjaciela

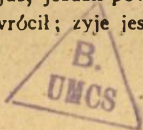


stokroć silniejszego, który ślad w ślad za nim kroczy... Człapanie znużonych koni, znaczna liczba rannych z krwią zaskrzepłą na licach, mundurach i lederwerkach białych, — wszystko to działa bardzo demoralizująco na umysł choćby najdzielniejszego żołnierza. Nie dziw więc, że korpus ponuro maszerował, nie nucąc nawet swojej ulubionej piosenki „Nasz Dwernicki“... — Patrząc na wybladłe lica tych rannych nieboraków, przyszedł mi na myśl kilkakrotnie mój przyjaciel Rafał. Czy też on żyje? Zatopiony — w podobnych myślach — maszerowałem z innymi, poprzedzając oddział kawalerii stojącej rotami na drodze i na wąskim mostku, przez który i nam także przechodzić wypadło. Kiedy się tak przeciskamy ocierając się niemal o boki koni, słyszę z góry gromiącego mię kawalerzystę. „Piechury! Bagnety w dół, bo nam nosy poobcinacie.“ Był to głos Rafała! — „To ty kochany Rafale?“ „Ja! a to szczególnie — myślałem właśnie o tobie!“... Uradowani tem zdymbaniem, uściskawszy sobie serdecznie dłonie rozeszliśmy się, bo kompanja moja maszerowała dalej.\*)

W tej rejteradzie robiliśmy ogromne marsze,

---

\*) Rafał jako oficer już, jeździł powtórnie do Kongresówki, skąd szczęśliwie wrócił; żyje jeszcze i cieszy się czestwem zdrowiem.



po ośm i dziewięć mil na dzień. — Batalion nasz postępował ciągle w tylnej straży; a szczególnie dwunasta kompania uchodząca za jedną z lepszych, musiała od świtu do nocy odpierać nacierających kozaków. Często zdarzało się, że korpus już zgotował i pożywił się, gdy my, straż tylna dochodzimy ledwo żywi... Wtem znowu padną strzały. My coprędzej chwytamy za broń i dalej znowu odpierać kozaków i tak bez ustanku. Kilku żołnierzy padło jak nieżywych ze znużenia i na furgony wziąć ich musiano. — Ja również nie przyzwyczajony do tak wielkich i bezustannych strapaców zaledwo już włókłem się, i dnia jednego ku wieczorowi nie mogąc zdążyć za kompaniją, pozostałem w tyle. Szczęściem stanęliśmy wkrótce obozem i dowlokłszy się jakoś do swoich, nie poszedłem do kompanji, lecz wyszukałem markietankę, która za sowitą nagrodę, pozwoliła spocząć mi na swym furgonie. Najlepszy materac nie może być tak miękki, jak słoma na furgonie markietanki była w owym czasie dla mnie; — nic szczególnego więc, że posiliwszy się doskonale, usnąłem jak zabity. Po północy, przebudzony ruchem furgonu, spostrzegłem, że maszerujemy wielkimi lasami, ale marsz ten nie bardzo był miłym dla mnie, furgon bowiem skacząc po korzeniach nie dozwalał snu twardego i ciągłego. Budziłem się więc co chwila, i raz na

wpół przebudzony słyszę nadbiegającego jeźdźca krzyczącego: „Ruszaj! ruszaj! kozacy zabierają z tyłu furgony!” — Gdyby ukropem zlany, schwycałem za leżący obok karabin i w mgnieniu oka wyskoczyłem z furgonu, dopędziłem kompanię która tą razą tworzyła straż przednią — lecz o kozakach nie słyhać. Domyśliłem się więc, że kawalerzysta eskortujący furgony, chcąc je nakłonić do prędszego pochodu użył tego fortelu, — wiedział bowiem, że żaden argument nie działa tyle, jak postrach nahajki kozackiej. Słusznie uczynił, ale mię pozabawił jeszcze parę godzin snu i spoczynku.

Nie wiem, czy odpoczynek czy strach dodał mi tyle siły, że stosunkowo w bardzo krótkim czasie znalazłem się od furgonów aż przy przedniej straży, sądzę jednak, że to ostatnie miało miejsce; — przypominam bowiem sobie późniejsze podobne niejako zdarzenie kolegi mego z pułku jazdy wołyńskiej, o którym sam mi opowiadał. „Na parę godzin przed bitwą, mówi, kazałem sobie buty ściągnąć, ponieważ się zeschły i okropnie gniotły; — ciągnęło kilku, ale daremna praca, trzeba je było albo pruć albo moczyć, a ną tę operację nie było czasu. — W krótkce, podczas bitwy (pod Lipskiem) dostałem się kozakom do niewoli. Ta hałastra idąc za swoim narodowym popędem zrabowała mię tak, że tylko w spodniem ubraniu zo-

stałem, a jeden hultaj, spostrzegłszy że mam buty całe: — „*Sapahi dawaj!*“ wrzasnął. Ależ panie kozak, tych butów nie podobna ściągnąć, chybabym je popruł, probowało już trzech; — w tem uczułem nahajkę na plecach, którą zdawało mi się iż nie rymarz ze skóry, lecz kowal z żelaza ukreślił, a kozak rozpałił na czerwono. Świece stanęły mi w oczach, — przysiadłem i nie wiem jakim cudem sam jedną ręką bez pomocy ściągnąłem w momencie obydwie buty i oddałem kozakowi.“ Kolega, który tę niefortuną znajomość z nahajką kozacką zrobił, był to Krzysztof O.

Dalsze dzieje naszego korpusu są znane. Przeszedłszy Radziwiłów, Poczajów i Kłodno, stanął korpus przy granicy, koło Lutyniec; a dowiedziawszy się, że nieprzyjaciel otacza nas przekraczając nawet granicę — weszliśmy po radzie wojennej do Galicji, do wioski Klebanówki. Moskale ścigali nas jeszcze po tej stronie, i gdyby nie nasza kompania, byłiby nam pozostałe w tyle działa zabrali; konie bowiem nie mogły ich uciągnąć po pagórkach, a dwunasta kompania w tylnej straży, zastąpiła je. Później nadbiegł pułkownik od huzarów austryjackich Fak, i zatrzymał moskali. W Klebanówce zabrali nam Austryjacy broń wszelką, i wydali ją moskalom. — Płacz i narzekanie żołnierzy naszych na nic się nie przydały, mścili się

przynajmniej tem, że wielu broń do stawu wrzucało. Jeńców odesłali Austryjacy do Węgier, a ja maszerując przez Kowalówkę, skryłem się u hr. Ponińskiego, skąd po odejściu mego oddziału, do domu odjechałem.



## II.

### Bitwa pod Iłżą.

Wyleczywszy się z pęcherzów, które mi się podczas tych forsownych marszów przez niewłaściwe, ciężkie, juchtowe obuwie na nogach potworzyły,\*) wybrałem się powtórnie z domu w towarzystwie Anakleta Bohdanowicza, który miał ekwipaż i wierzchowca — z przedsięwzięciem zaciągnięcia się do głównej armji, i to mianowicie do kawalerji.

We Lwowie, zaopatrzyliśmy się we wszelką broń dla kawalerzysty potrzebną, a w Zboiskach znalazł się i wierzchowiec dla mnie, którego zacny właściciel śp. Ignacy Nikorowicz, oddał mi ochotnie nie pozwalając ze względu na cel któremu miał służyć, mówić sobie o zapłacie. Była to klacz biała, z pod oficera czerwonych huzarów rosyjskich, a zdobyta pod Boremlą przez jednego z naszych oficerów i w przechodzie przez Lwów do Węgier, obecnemu właścicielowi sprzedana. Wspominam

---

\*) Najwłaściwszem obuwie dla piechoty, są lekkie ciżemki i płócienne onuczki.

tu o niej, bo mi się później takiego ognia i wytrwałości konia znaleźć więcej nie zdarzyło.

Jechaliśmy tedy do Warszawy przez Zamość, gdzie generałowi Krysińskiemu przedstawieni, nader obojętnie przez tegoż zostaliśmy przyjęci. Obojętności tej nie mogłem sobie inaczej tłumaczyć, jak tylko zupełnem znieczuleniem dla całej sprawy, zwłaszcza że jak się później przekonałem nietylko on jeden był takim. — I tak, gdy Karol Różycki przebiwszy się ze swoim pułkiem przez licznego nieprzyjaciela, przyszedł pod Zamość, prosząc o umieszczenie go na krótki czas w fortecy ażeby mógł po tylu trudach, po stumilowym przeszło marszu, pułk w spokoju do porządku przyprowadzić i mundury z swoich własnych materiałów poszyć: Chrzanowski, ówczesny gubernator Zamościa nie pozwolił na to, lecz wyznaczył Tomaszów pod granicą austryjacką leżący, a o 3 mile od korpusu nieprzyjacielskiego generała Kaizerowa oddalony! W wiosce tej, dzielny pułkownik mógł być każdej chwili zaatakowany; zamiast więc odpocząć musiał bezustannie czuwać, — konie stały posiadłane, furgony pozaprzęgane, tak, że na furgonach szyli krawcy mundury dla wojska... Czwartego dnia był już pułk od fortecy odcięty i tylko nadzwyczajnej czynności i przezorności dowódcy przypisać należy, że zdołał w nocy przez Józefów

dostać się do twierdzy. We dwie godziny później już Tomaszów został otoczony przez moskali!

Wracam do moich wrażeń w Zamościu.

Znaleźliśmy tu kilku znajomych, niezadowolonych ze służby fortecznej, i ci pomogli nam do sprawienia sobie lanc, do przyrządzenia siodeł i do kompletnego wystąpienia jako kawalarzyści. Trzeba więc było dalej dążyć w drogę ku Warszawie. Ale jak tu wydostać się z fortecy, z której tylko za przepustką wypuszczano? Poszedłem więc do plackomendanta majora, którego nazwiska nie pamiętam. Opowiedziałem mu, że służyłem w piechocie Dwernickiego a obecnie zaopatrzwszy się w konia i broń, jadę do Warszawy zaciągnąć się do głównej armji. — Struchlałem jednak, gdy pan major przybrawszy marsowatą minę oświadczył mi wprost, że przepustki nie da, ponieważ będąc już raz przy piechocie, jako regularny żołnierz do piechoty pójsz muszę! — „Ależ panie majorze, ten piechotyniec powinien obecnie znajdować się w Węgrzech, gdzie jego batalion jest internowany; ja zaś uszedłem z własnej ochoty i znowu jako ochotnik z bronią i własnym koniem zaciągnę się tam, gdzie mi się podobać będzie. Jeżeli więc pan myślisz że mnie do zostania się w Zamościu skłonisz, to się bardzo mylisz, — wolę raczej wrócić do domu i beczynnie siedzieć.“



Mysłą majora było, zatrzymać nas obydwóch przy kawaleryi w Zamościu, — rezonowaniem więc mojem rozgniewałem go, i wtedy oświadczył, że niewiele ojczyzna straci gdy o jednego lub dwóch Galicjanów mniej będzie, tembardziej że przed trzema dniami już nawet jednego rozstrzelano! I tak rzeczywiście było! — Rozstrzelano Cukaniego ze Lwowa. Uprzykrzyła się nieborakowi służba w fortecy, umknął w celu dostania się do wojska linjowego, — schwytano go i jako dezertera rozstrzelano.

Po takich argumentach wyszedłem zirytowany, ażeby ze znajomymi poradzić się nad sposobem wydobycia się z tego zaklętego koła, gdy w drodze trafiam na dobrze mi znajomego oficera z korpusu Dwernickiego i przed tym użalam się na całą załogę forteczną począwszy od jenerała.

„Ależ nie zważaj na to kolego. Ci starzy oficerowie są rzeczywiście czasem zagadkowi, lecz zdaje się, że nam zazdroszczą młodości i stąd pochodzi ta cierpkość ich w obejściu się z nami. O przepustkę nie turbuj się. Jutro rano wychodzi z tu-tejszego szpitala do Warszawy oddział piechoty ze stu ludzi i kilku konnych złożony, z którymi i ja maszerować będę, — przyłączcie się obydwaj uzbrojeni i na koniach, i pomaszerujemy razem.“

Tak się też stało! Rano w ośm koni i przeszło sta piechoty wyruszyliśmy z Zamościa. W Biłgoraju, (słynnem miasteczku z pięknych sitarek) stanęliśmy na odpoczynek. Mieszczanie przyjmowali nas serdecznie z muzyką, to też gdy się wiara rozłokowała a sitarki zjawiły, rozpoczęła się hulanka co się zowie. Oficerowie — a byli między nimi i sztabowi, tańczyli zapamiętałe mazura; — kolega Anaklet nie był również między ostatnimi, i choć mały ale jurny, wywijał pięknymi sitarkami siarczyscie, pomimo ostróg, do których jeszcze nie przywykł i co chwila plątał się lub zaplątywał wiotką spódniczkę hożej tancerki. Ja tylko, popasłszy konia patrolowałem z drugim kolegą okolicy Biłgoraja, wiedząc że Moskale są nie daleko.

Stąd maszerowaliśmy przez Zawichost, (gdzie nad Wisłą przepędziliśmy kozaków ku Warszawie) bez żadnych przeszkód, i dotarliśmy do Solca, w którem to miasteczku pułk kawaleryi Karola Różyckiego ostatecznie został umundurowany i oporzędzony.

Poznawszy dzielną młodzież powyższego pułku składającego się przeważnie z szlachty wołyńskiej, daliśmy się z łatwością zaciągnąć do pułku, który taką już okrył się chwałą!

Winienem tu słówko powiedzieć o samym dowódcy.

Pułkownik K. Różycki, nie odznaczał się silną budową, owszem miernego nawet wzrostu mężczyzna, lecz wytrwały na trudy wojenne i nadzwyczaj odważny żołnierz, miał już w ówczas sławę dzielnego dowódcy! I złożył tego dowody w przeszło 130-milowym marszu z Wołynia aż do Zamościa, podczas którego z pułkiem swoim staczał kilkakrotnie zwycięskie utarczki a nawet formalne bitwy. Wówczas gdym go poznał, był w samej sile wieku, uprzejmy w obejściu choćby z najniższym, odznaczający się dziwnie dobrem choć nie miękkim sercem, niedziw że od wszystkich jak ojciec był szanowany, tak że każdy w ogień byłby poszedł za nim, gdyby tego był zażądał. — Cieszyło nas bardzo, że przypadkowo do tak wyborowego pułku zostaliśmy zaliczeni i pierwszą zaraz z naszej strony rzeczą było, dać sobie nowe porobić mundurki.

Przez tydzień pobytu w Solcu, nauczyłem się obrotów na koniu i robienia pałaszem, — lancą zaś wywijać, sądząc że nie wielka sztuka pchnąć długim kijem wprost siebie, nie nauczyłem się wcale. Wiele chwil wolnych spędzałem na polowaniach z kolegami moimi Marcinem Weleżyńskim i Antonim Szaszkiewiczem.

Dnia jednego, wróciwszy z polowania błotnego do domu, położyłem się znużony do snu, nie czekając na kolegę Anakleta, z którym współ-

nie mieszkałem. Zabawiał się on w restauracji z innymi towarzyszami i dopiero o północy przebudzony hałasem słyszę, jak gromi mnie i moskali razem; mnie mianowicie że spioch jestem, że zaniedbuję mustrę, po polowaniach włóczę się, podczas gdy on ciągle ćwiczy się w robieniu lanca i pałaszem.

— I cóż nauczyłeś się dziś? pytam dobrze podchmielonego, — widzę bowiem żeś nie marnowałeś czasu. Gdyby na przykład w tej chwili moskale na nas uderzyli, wątpię, czyliby ci się na co tak dobrze wyuczona mustra przydała!

— Ha! zobaczysz, krzyknął Anaklet, a dobywszy pałasza stanął mi w nogach. -- Pozycja moja była przykra, bo leżałem na ziemi pod wielkiem oknem, — gdzie łatwo z niepewnej ręki mógłby się pałasz wysliznąć i we mnie trafić! A mój Anaklet nuż wywijać szablą młynka, lecz tak szybko, że klingi dostrzedz nie mogłem. Z obawy, ażeby mu się pałasz z rąk nie wymknął i mnie nie skaleczył, kryję się pod kołdrę i wołam: „Zmiłuj się przyjacielu! już widzę, że nie jednego ale stu moskali naraz porąbiesz w kawałki, lecz schowaj szerpentyne bo ci się gotowa z rąk wyrwać i skaleczysz przyjaciela, który sam przecie ma chętkę zakłuć choć kilku moskali i w tym celu do Solca przyjechał!“ — W tem istotnie pałasz za-

furkotał nad moją głową, szyby brzękły i szkło w bryzgach posypało się na poduszkę. — Parsknąłem ze śmiechu i przyznać mu musiałem, że jeżeli tak będzie tłukł moskali jak tłucze szyby, to wojna nasza potrwa nie długo.

Anaklet stał jakiś czas zagapiony — po tem przyniósł pałasz ze dworu i nie rzekłszy ani słowa spać się położył, a ja długo jeszcze nie mogłem powstrzymać się od śmiechu.

Po umundurowaniu się, został nasz pułk do generała Szeptyckiego przydzielony, który z dwoma półbatalionami piechoty dla bronienia moskalom przeprawy przez Wisłę był wysłany. Zanim się jednak pułk nasz połączył z dywizyą generała, pułkownik Różycki robił sam dywersyę nieprzyjacielowi ucierając się z kozakami w okolicy Tarłowa.

Pod tę porę, dano znać Różyckiemu, że Floryan Rzewuski ma przybyć nazajutrz raniutko z kozakami do Pawłowskiej Woli. Uwiadomiony o tem Różycki postanowił natychmiast na zdrajcę sprawy naszej zrobić zasadzkę. Ucieszyliśmy się tą wiadomością, gdyż każdy z nas pałał chęcią dania mu nauczki za jego odstępstwo. Cichuteńko więc wyruszamy do Pawłowskiej Woli i kryjemy się w jakimś budynku mającym kształt obory czy czegoś podobnego, w którym na wszystkich czterech rogach znajdowały się obszerne bramy.

Pawłowska Wola leży nad małą błotnistą rzeczką u podnóża niewielkiej góry, ciągnącej się równolegle z brzegiem strumienia, przez który prowadzi most do gościńca dążącego wprost ku Wiśle. Z tej strony właśnie spodziewaliśmy się przybycia moskali z kozakami Rzewuskiego. Za mostem zasiedli ukryci w zbożu nasi strzelcy, w celu przepuszczenia kozaków obok siebie przez most do wsi i przecięcia im tym sposobem odwrotu. Za danym znakiem przez wystrzał karabinowy, że kozacy już do wsi wkroczyli, miały plutony nasze, każdy wyznaczoną sobie bramą wypaść, przyczem kapitan Grudziński miał z dziesięcioma ochotnikami pierwszy uderzyć na nieprzyjaciół i tak długo ich zabawiać, póki plutony wyleciawszy z ukrycia za bramą, nie uformują się do natarcia.

Plan był dobrze obmyślany — lecz niestety strzał padł za wcześnie, — i kozacy nieprzekroczywszy nawet mostu, uszykowali się przed nim, a widząc tak małą garstkę ochotników wybiegającą przeciwko sobie i nasz pułk za bagnami na wzgórkę sformowany, który musiałby znaczną przestrzeń objeżdżać, ażeby się do nich dostać, — spokojnie oczekiwali naszych. — Po pierwszej salwie karabinowej zmieszali się w jeden kłęb, biją się w początku nie źle, — lecz wkrótce choć cztery razy silniejsi, pierzchają.

Na poboju leżało kilku kozaków, ale i nasz koń jeden biegał bez jeźdźcy; — jeźdźca porwali kozacy! Wizoski, jeden z ochotników. pierwszy spostrzegł konia i poznał, że należy do Budzyńskiego. — Puszcza się więc sam za kozakami, w pędzie nabija wystrzelony karabinek lotkami, a przybliżywszy się na kroków kilkadziesiąt i widząc, że Budzyński trzymany za ręce i nahajkami popędzany ledwie nogami przebiera, daje ognia. Kazacy wrzasli przeraźliwie „*drobom strilajut!*“ puszczają Budzyńskiego i sami co sił zmykają. Biedny Budzyński jednaście razy lancą pchnięty i do tego przestraszony, zamiast w przeciwną stronę pomykał jeszcze za kozakami i dopiero Wizoski wzięwszy go za rękę, do wsi przyprowadził i stąd na wozie do nas przywiózł. Pułk cały patrzył na tę scenę, lecz z razu dojrzeć nie mogliśmy, kogo Wizoski odbił.

Budzyński był znany jako śmiały żołnierz, choć dzieciuch jeszcze, bo zaledwie liczył szesnasty rok życia, do tego szczupły i mały, łatwo dał się silnym kozakom unosić prawie na powietrzu! — Szczyściem, że z ran otrzymanych w tej utarczce wkrótce się wyleczył.

O Wizoskim wspomnę w tem miejscu obszerniej, ponieważ będzie i później o nim mowa.

Był on niegdyś strzelcem w obywatelskim domu i poszedł ze swoimi panami wziąć udział w powstaniu. Zabrał z sobą, co mu najmilsze a przytem najpotrzebniejsze było: — konia nie wielkiego dereszka z nadzwyczajnym ogniem i wytwalnością, którego sam tak doskonale ujeździł, że był może najlepszym w pułku, i za którego grube pieniądze mu ofiarowywano — potem sztuciec krótki, dobry li tylko do lotek, i pistolet ze skałką i dekletem podsypywany na panewce, — do tego dodano mu lancę i to stanowiło całe jego uzbrojenie.

W marszach bywało, zostawał on w tyle, a żeby z kozakami wiecznie nas najeżdżającymi trochę poharcować, a była to jego najmilsza rozrywka, ponieważ zdawało mu się wtedy, że w kniei na dzikiego zwierza poluje. A żeby kozaków rychlej ku sobie zwabić, pozostawał daleko za tylną strażą i wolnym krokiem, pochylony, włókł się niby na swoim koniku. Postawa jego wcale nie wyglądała rycersko, a cóż dopiero gdy się czasami zachwiał jakby pijany lub słaby; — to też kozacy niewiele sobie robili z takiej niepoczesnej figurki i najeżdżali śmiało na niego wrzeszcząc swoje zwykłe „*neujdiosz!*“ — Gdy już na strzał pistoletowy zbliżyli się, odwracał się Wizoski, i mierząc z pistoletu, wypalał, — naturalnie, proch tylko spalił na



panewce — i począł uciekać. — Ha! mam go myśli kozak, i już pędzi jak strzała ażeby mu nie dać podsypać, a Wizoski uciekający przypuszcza go na kilkadziesiąt kroków, osadza konia w miejscu, zwraca się i pali lotkami do kozaka, który mu pod lufę wleciał.

Nie było wypadku, aby którego chybił, lub żeby go broń zawiodła! Do którego zmierzył, ten pewnie w prochu się tarzał. Takim był Wizoski! Ilu on moskali na drugi świat wyprawił, to chyba na ostatnim sądzie się dowie. Liczba ich przechodzi wszelkie przypuszczenia.

Po kilkudniowych i mało znaczących utarczkach, małeńki nasz korpusik zwiększył się przez przybycie jednego batalionu piechoty — pięciuset strzelców Grotusa, jak również przez przydzielenie do pułku naszego plutonu legji nadwiślańskiej pod dowództwem porucznika Szumlańskiego. W takiej sile staliśmy 9go Sierpnia obozem pod Iłżą z jenerałem Samuelem Różyckim który objął nad nami komendę po odwołaniu z dowództwa Szeptyckiego...

Iłża, miasteczko porządne, murowane, leży na lewym brzegu rzeki Białej. Od północy — na polistej płaszczyźnie zielenią się lasy szpilkowe, — a koło samego miasteczka po prawym brzegu rzeki, wznosi się dosyć przykra góra z ruinami jakiegoś

zamczyska, której stoki ciągną się równolegle z rzeką ku południowi, — łagodniejąc i ustając wreszcie ku północnej swej stronie. Po lewym zaś brzegu rzeki świecą łysiną dwie góry przecinające pod prostym kątem tamtą, t. j. od zachodu na wschód i zniżające się stopniowo ku rzece, której niejako rany stanowią. Obie te góry dzieli głęboki parów, który w dwóch tylko miejscach t. j. raz pod miastem, i znowu potem nieco dalej bezpiecznie przebyłym być może.

Na jednym z tych pagórków, od strony północnej, u którego podnóża jak to wyżej rzekłem leży miasteczko, staliśmy rozłożeni obozem; parów zaś i drugą górę mieliśmy na południowej stronie — po za sobą.

Około godziny dziesiątej rano strzeliły nasze wedety od strony północnej i widać było kłęby kurzu wzbijające się nad lasem.

„Do koni! — zabrzmiało, — kielznać konie!“

Gdy tak kielznaniem i podciąganiem ryngortów (Wizoski obok mnie) zajęci jesteśmy, nadjeżdża do nas na dzielnym karym koniu adjutant nasz Dzierzek i ofiaruje Wizoskiemu 50 dukatów za jego dereszka. — „Czyś Pan oszalał? czy kpisz ze mnie? Za cały worek dukatów nie dałbym go w tej chwili, alboż Pan nie widzisz Moskali? za pół godziny zetrzemy się, a ja bez konia chy-

babym do piechoty poszedł? Odjeżdżaj pan sobie z Bogiem i daj mi święty pokój.”

— „To zamieniąj się ze mną, dam ci trzydzieści, rzekł Dzierzek, — wszakże i mój koń wart najmniej 50 czerwieńców.”

Nareszcie gdy widzi, że z Wizoskim trudna sprawa, proponuje mu zamianę tylko do tej jednej bitwy, po której każdy swego konia zatrzyma, w dodatku zaś ofiaruje mu 10 dukatów z góry.

Znudzony zapewne natarczywością oficera, a może i trochę zachęcony dziesięcioma dukatami, które za nic prawie uda mu się otrzymać, gdy do tego jeszcze Dzierzek zeskakuje ze swego konia i całując prosi Wizoskiego o zamianę, ten zezwala i Dzierzek siada na dereszka. Wizoski na karoszu wyglądał jakby oficer sztabowy; — przepowiadałem mu żartując, że na tym koniu guza sobie napyta. „A to dla czego?” zapytał. — „Bo będą cię na cel brali — wyglądasz co najmniej na pułkownika.”

Tymczasem zbliżyli się Moskale tak, że już ich dobrze dojrzec było można. Pułk piechoty i półbateria armat postępowały po prawej stronie rzeki, dążąc wciąż ku miasteczkowi, a pułk noworosyjskich dragonów pod pułkownikiem Howen, przeszedłszy gdzieś przez rzekę, szedł z lewej wprost ku nam; lecz piechota o wiele go wyprzedziła.

Brygadą nieprzyjacielską dowodził generał Kwietnicki.

Nasz generał Samuel Różycki czekał w mieście z batalionem legji litewsko-ruskiej pod komendą pułkownika Kwiatkowskiego i pięćset strzelcami Grotusa i Gedroicia; drugi batalion mieszany z kosynierami pod komendą Nideckiego stał pod miastem od strony naszej i wcale czynnym nie był. Szczupły pułk Wołyniaków, bo ledwie trzysta koni liczący ustawił się w jeden szereg wyciągnięty, na szczycie pierwszej góry frontem ku dragonom, którzy jeszcze w dość znacznem oddaleniu od nas się znajdowali. — Piechota zaś rosyjska z armatami dochodziła już do miasta.

Moskale wyciągnęli armaty swoje na górę około zamczyska i poczęli palić z nich do nas, lecz prawie równocześnie piechota ich została rzesistym ogniem batalionu Kwiatkowskiego przyjęta, który bronił przejścia mostu. Strzelcy zaś rozlokowani po domach zasypywali gradem kul cisnących się moskali — i bitwa na dobre zawrzała.

W początku, walczyły obie strony uporczywie; lecz później zaczął batalion nasz przed pułkiem moskiewskim ustępować z placu. Widząc to Samuel Różycki zeskakuje z konia, chwyta za karabin i na czele batalionu wypiera moskali bagnetem

napowrót za most. — Rozjuszeni Moskale, nie mogąc dać sobie rady, chwytają się swego zwykłego środka, to jest, rzucają granaty do miasta — zapalają je i tym sposobem zmuszają nasze wojsko i mieszkańców wynosić się ku stronie, po której pułk nasz był uszykowany.

Podczas, gdy całe miasto bucha w płomieniach a kłęby dymu z palących się tłustości i spiritusów zasłaniają czarną chmurą widnokrąg, po którym jak ogniście meteory błyskają w przelocie palące się gonty i drzazgi: — pułk dragonów zbliżył się do nas na strzał kartaczowy! — Chwila była decydująca, tem bardziej że nie mieliśmy ani jednego działka... Ośmieleni łatwością zwycięstwa — a raczej kompletnego zniszczenia nas, zbliżają się ku nam coraz więcej... Przeważni liczbą, bo trzech moskali na jednego z naszych, ośmiela tych tryumfatorów! W tem, dowódzca nasz Karol Różycki obejrzał się na parów, skinął i zakomenderował: „Pułk! Lewe ramię na przód, frontem w tył! — Marsz!“

Uchodzą! pomyśleli zapewne moskale; a może i to mniemanie mieli mieszkańcy miasta, ba, nawet sam generał Samuel Różycki patrzący z bijącym sercem na nasz manewr. — Tymczasem pułk nasz przeszedł z trudnością parów i na szczycie drugiej góry stanął frottem w jednym szeregu.

Dragoni przeszedłszy pagórek, który przed chwilą opuściliśmy, stanęli nad parowem; Pułkownik ich długo go obzierał i jak domyślać się godzi, dziwił się, żeśmy przejść go zdołali.

Ja stałem na prawem skrzydle obok porucznika Marcina Weleżyńskiego słuchając, co sobie pod nosem mrucał. „Hultaje! mówił, gotowi jeszcze nie przejść parowu; a toby nam narobili wstydu! Jak mi się zdaje, pułkownik sprowadził nas tutaj, ażeby moskali przywabić do tego parowu i pozwolić im, aby się w nim wygodnie do góry brzuchami wylegiwali!“ Mruczał, klął, nareszcie nie mogąc dłużej wytrzymać pocisnął konia i poleciał jak strzała na moskali.

— Oszalał! pomyślałem, sam szarżuje na pułk cały!

Jest to zdarzenie rzadkie, wyjątkowe, które podziwiał pułk cały! — Wszak je pamiętacie dobrze, wy, jeszcze przy życiu będący towarzysze moi?... Pomnicie, jak wszystkim nam tchu w piersiach brakło, — jak mimowolnie jeden drugiego wzrokiem pytał co ten szaleniec pocznie z całym pułkiem nieprzyjacielskim?!

Tymczasem Marcin przeleciawszy nad parów, rozprawiał coś z pułkownikiem dragonów, a na koniec oddawszy mu z konia ukłon wojskowy, (choć trochę za późno, — bo już wtedy gdy ku

nam pędził) — osadził konia i stanął znowu w szeregu.

— Cóżes tam kolego z nim rozmawiał? zapytałem. — „Powiedziałem im, że parów ten z łatwością prześleimy, więc i ich nie powinien wstrzymywać“ — odrzekł.

Pułkownik Howen, widąc oburzony pożegnaniem się Marcina, rozkazał pułkowi niezwłoczne przejście parowu!

Na dobry strzał karabinowy od dragonów stał batalion Nideckiego ukryty w jakichś dawnych szańcach i nie dał ani razu ognia; — wspominam tu o tem, bo jak wtedy na niego sarkałem, tak dziś jeszcze tej obojętności darować mu nie mogę.

Przeszli tedy dragoni parów — rozsypali tyralierów, postępując wolno na drugą górę ku naszym szeregom. Pułk nasz nie wysyłał tyralierów, ponieważ i tak już małej garstki nie można było rozrywać. Moskale przybliżyli się na strzał pistoletowy, a my jeszcze spokojnie stoimy i czekamy na większe zbliżenie; — ale kolega Marcin gorączka, kręcąc się na siodle, nie mógł widać dłużej wytrzymać i zdaje mi się że bez komendy — (ja jej przynajmniej niesłyszałem) — wyskoczył naprzód i huknął silnym głosem nasze zwykłe bojowe hasło: „Sława Bogu!“

— „Sława Bogu!“ odrzyknęła wiara, i jak uragan lecimy naprzód z lancami najeżonymi, niosąc na ustach nasze bojowe hasło. — Tyraliery moskiewscy kryją się za pułk, ten zaś, gdy na kilkanaście kroków doń zbliżyliśmy się — stanął jak mur. To niespodziane zachowanie się dragonów tak nas zdekoncertowało, że i my dobiegłszy przed sam front moskiewski na siedem lub ośm kroków, stanęliśmy jak wryci.

Powodem zatrzymania się moskali było, że tylko dwa nasze szwadrony zaatakowały dragonów, — trzeci szwadron, przy którym był dowódzca pułku, nie ruszył się z miejsca; — obawiali się więc moskale jakiejś zasadzki.

Po zetknięciu się naszym trwałą chwila wzajemnego gapienia się, potem padł strzał jeden, drugi, nareszcie ogień rotowy z pistoletów i karabinków, — z razu dość rzęśisty lecz w końcu coraz rzadszy, cichszy — aż wreszcie ustał zupełnie.

Po wystrzałach już, nadbiegła reszta naszego pułku i skompletowała nas na lewo, a pułkownik Różycki okrążając nasze prawe skrzydło, wjeżdża obok Marcina i mnie krótkim galopem w szpaler paro-sążniowy między nasz pułk i ustawionych do boju dragonów.



Zdumieliliśmy, skąd Różycki wziął się koło nas? nie wiedzieliśmy bowiem, że tylko dwa szwadrony naszych uderzyło na dragonów, i że jeden szwadron z pułkownikiem został był na górze. „Sława Bogu!“ krzyknawszy koło nas, pogalopował Różycki szpalerem jakby dla defilady, a w istocie szukał równego sobie przeciwnika.

Pułkownik dragonów stał niedraśnięty pomimo tyłu strzałów na czele swego pułku, i gdy oko Różyckiego padło na niego, przystanął, podniósł szablę i odbył się niewidziany dotąd pojedynek dwóch dowódców, przy którym to pojedyнку dwa pułki były niemymi i pełnymi podziwu świadkami.\*)

Iskry sypały się za każdym zetknięciem się szabli; żaden z przeciwników nie ustępuje kroku. W tem otrzymuje Różycki lekkie draśnięcie w lewą rękę w chwili, gdy pułkownik od dragonów chciał mu cugle przeciąć; — lecz w tymże samym momencie dostaje od Różyckiego tak mocne cięcie przez środek twarzy, że spada z konia, i później

---

\*) Jest to jedna z tych homerycznych scen w całej tej wielkiej epopei, że dziwić się należy, iż żaden z naszych malarzy dotąd jej nie zużytkował? Rzucamy myśl w nadziei, że polski pędzel przeniesie na płótno tę godną upamiętnienia scenę.

gdysmy już za uchodzącymi dragonami pognali, z innymi jeńcami dostaje się w niewolę.

„Sława Bogu!“ krzyknęła wiara, gdy pułkownik Howen spadł z konia — i z innemi wpadła na piersi dragonów; — a mnie w tem zderzeniu trafił się przypadek, którego tu żadną miarą nie mogę pominąć milczeniem.

Jak wyżej wspomniałem, nie uczyłem się obrotów lancą. Sądziłem, że najskuteczniejsze powinno być pierwsze uderzenie, gdy lancę mocno do boku przycisnę i w pędzie konia, t. j. całym impetem na nieprzyjaciela wpadnę.

Postępując tedy wedle mego mniemania pocisnąłem konia ostrogami a ten jak wściekły, skoczył prawie na łeb przeciwnika. Lanca do boku przycisnięta, uderza w pierś moskala i natrafia na coś tak twardego, że choć go pewnie mocno raniła, — z konia mię strąca, tak że mi tylko jedna noga w strzemieniu się została.

Myslałem, zem przepadł! Szczęściem koń mój mając po bokach inne konie w szeregu, musiał się przy samych nozdrzach koni moskiewskich chwilę zatrzymać, a ta chwila była dostateczną dla mnie ażeby się na siodło wydostać.

Uderzając powtórnie, byłem już ostrożniejszym: trzymałem się bowiem lewą ręką kuli od siodła, do której też cugle przycisnąłem; sądziłem

również, że każdego, którego pchnę lancą, winienem z konia zsadzić; — uderzywszy więc jednego lub drugiego, nie odejmowałem lancy, lecz dopóty nią przeciwnika spychałem, aż z konia nie zleciał, co zabierało mi wiele czasu.

Wracam do bitwy.

Dragoni zwróciwszy z trudnością konie, zaczęli „na łeb na szyję“ do parowu uciekać; ja nie byłem w stanie klacz moją wstrzymać, — kłółem po drodze i spychałem z konia swoim zwyyczajem trzymając się kuli od tarlicy. Mimo woli byłem w momencie na drugiej stronie parowu i spostrzegłem przed sobą dragonów, tą razą znowu ku nam odwróconych zajętych równaniem się do szeregu... Oglądałem się: ani jednej naszej białej czapki nie widzę! Ostatni dragoni wydobywają się z parowu, lecą do frontu, przed którym grzmi komenda „*Strojsia! Strojsia!*“ Równają się, ale jeden za blisko mnie przelatował, — pchnąłem go więc silnie lancą pod ramię, a gdy dragon mój z konia zleciał, co się nie dalej jak trzydzieści kroków od ich frontu działo, już Wizoski na owym karym koniu i więcej naszych nadleciało; — tu powtórnie złamawszy front, pędziliśmy ich polami i kłuli potężnie. Jeszcze raz usiłował pułk zatrzymać się, lecz nie mógł dojść porządku: — zrobiło się zamieszanie, w którym przez moje niedo-

świadczenie o mały włos że cięcia pałaszem nie dostałem; spychając bowiem jak zwykle napotkanego dragona, który jak przytrokowany do siodła twardo na niem siedział, spostrzegłem, że drugi wprost na mnie leci, i kto wie, coby się stało, gdyby nie był porucznik Domaradzki na szczęście moje nadjechał i lecącego ku mnie dragona tak zrąbał, że prawie jednocześnie obaj nasi adwersarze z koni pozlatywali. Nie miałem wyobrażenia, że można pałaszem tak dzielnie robić; — w momencie otrzymał dragon kilkanaście cięć w głowę, i to przez kask, którego druty niewytrzymały potężnego ciosu.

I znowu rozpoczął się taniec! Dojechałem jednego z tyłu i jakoś nisko przy samym siodle lancą go pchnąłem — podskoczył od siodła i zleciał sam z konia. — Ha! pomyślałem, dobrze że wiem gdzie moskał najmniejszy — nie będę nawet potrzebował ich tak ciężko ranić! Przyznaję się, że biłem bez żadnej zawziętości, która powiadają każdego walczącego opanowuje; — biłem, bo dobro ojczyzny tego wymagało; dla umniejszenia więc sił wrogowi starałem się każdego z konia strącić, — po strąceniu jednak gdy każdy klękał, i błagalnym głosem wołał „*pożałuj batiuszka*“, żał mi go było i nie tknąłem go więcej.

Goniąc dalej za dragonami, uczulem naraz mocny kurczowy ból, który pochodził w skutek ciągłego galopowania, przy którem klacz moja, szczególnie w krótkim galopie, nadzwyczaj się rzucała. Skuliłem się więc we dwoje, i ażeby mię między dragonów nie zaniosała, ściągnąłem cugle zwalniając jeden o tyle, ażeby ją do galopowania w kółko przemusić. Wtedy to ty nadbiegłeś do mnie kochany kolego poruczniku Antoni Szaszkiewiczu — zapytując czylim ranny? Po półwieku blisko — przychodzi mi tu wdzięcznie wspomnieć twoją koleżeńską troskliwość.

Po chwili, ustąpiły kurcze tak, że mogliśmy się swobodnie wyprostować, i widzę, jak dragoni zwracają w prawo ku wiosce do Ilży przypierającej i zatrzymują się na wstępie między opłotkami w ulicy, którą zapewne z rozkazu ich jenerała zabarykadowano. Kilkunastu naszych, którzy byli na przedzie — wpadło między nich i zostało oskoczonych, kilku wzięto do niewoli a kilku raniono; najmocniej rannym był porucznik Antoni Szaszkiewicz, który przed chwilą kilka słów ze mną wymienił. Imnie byłby niechybnie tenże sam los spotkał, gbyby nie owe gwałtowne kurcze, które kazały mi więcej zająć się własną osobą, niż losem bitwy.

Sądziłiśmy, że na tem koniec. Żołnierze nasi uprowadzają rannych, pomiędzy którymi i poru-

cznika; — w tém wyrywa się jeszcze jeden nasz z tłumu dragonów, pędzi ku nam na karym koniu, ale zamiast białej czapki ma dziwne jakieś ubranie na głowie, przystrojone w federbusze, harcocy, jedno w dół drugie w górę sterczy — nie podobna z daleka rozpoznać co to za dziwadło? — Nareszcie przypatrujemy się: — Wizoski! Czapkę, rogatywkę grubo wywatowaną porąbano mu tak zabawnie, że każdy z nas pomimo, że Wizoskiemu po twarzy i brodzie krew spływała, śmiał się z nieboraka.

— Wizoski kochany, jak to było, żeś się dał tak zrębać? zapytał któryś. — „A niech go djabli wezmą z jego koniem! dla tego to ten Dzierżek nie chciał na nim iść do bitwy, — bestya twarda w pysku jak djabeł! Wpędziłem się, powiada — między tych łajdaków tak, że musiałem lancę rzucić i wziąć się do płaszcza; — opędzam się na około, częstując jednego po trąbie, drugiego po zauszu, gdzie którego mogłem dostać, ale że za wielu ich miałem, chciałem skrócić i zemknąć, tymczasem mój koń stał jak wryty, — ani sposob go z miejsca ruszyć! A tu Mospanie kilkanaście pałaszów chesze po głowie; w desperacyi pozwałam się chwilkę bezkarnie rąbać, a tymczasem rznę mego konia pałaszem w łeb. Ten manewr dopiero

obrócił go i zmusił do posłuszeństwa, — ale mi szelmy czapkę popsuli!“

„To fraszka czapka, ale jesteś ranny, daj się opatrzyć przez lekarza, może pójdziesz do lazaretu?“ — „E to furda! żebym się do mego de-reszka dostał, to najważniejsza“ odrzekł, niezważając na opływające we krwi rany.

I w samej rzeczy, otrzymał Wizoski tylko kilka lekkich cięć przez skórę, z których w krótcie nie złącząc z konia wyleczył się.

Dragoni osadzeni może o sto pięćdziesiąt kroków od nas w opłotkach, oczekiwali posiłków, które jak nam doniesiono, były już w pochodzie nie daleko, i z tego powodu kazano nam formować się. W początku komenderowali tylko oficerowie, później i podoficerowie, nareszcie wszyscy, a nawet i nasz sławny śpiewak Nudera swoim dźwięcznym głosem — „formuj się!“ śpiewał — ale w zamieszaniu tem nie mógł się pułk jakoś złożyć. A tu, jakby dla urągowiska podjechał na kilkadziesiąt kroków do nas jeden dragonista dekorowany medalami, duży, łysy jak bundz, bez kaska, z lancą któremuś z naszych odebraną, i w swoim języku przedrwiwając, wzywało się spróbowania się z sobą.

Właśnie pod tę porę zjawiała się em Słotwiń-rągiew i za jej pomocą począł się pułk kanaście koni

formować, nie było więc czasu o jednym dragonie myśleć; — porucznik Domaradzki jednakowoż, chcąc dragona przekonać, że ta lanca nie we właściwym ręku się znajduje, podjechał do niego — jako oficer tylko w pałasz uzbrojony. Dragon postawił się, a przypuściwszy porucznika, śmiało z lancą wpadł na niego. Lecz ta w niewprawnem ręku jak pióro odleciała na bok i dragon w tej chwili otrzymał, wprawdzie jedno tylko cięcie w łysinę, lecz takie, że poprawiać nie było potrzeby — zdaje mi się, że ostrze dopiero na zębach się oparło. I na ten drugi pojedynek patrzyły obydwa wojska... — „Trzeba ci tego było!“ pomyślałem.

Reszta dragonów w opłotkach tak była przestraszona, że lada natarcie nasze, a z pułku kompletnego nie byłoby się nic zostało. Zdybywalismy ich kilka razy później zformowanych w małe dwa szwadroniki, ale zawsze nam z drogi ustępowali. Straty z naszej strony były nieznaczące, widocznie Pan Bóg opiekował się nami.

Ponieważ generał Słotwiński prowadził moskalom znaczne posiłki i te już niezbyt daleko od nas były, więc pułk nasz zformowawszy się, <sup>„...“</sup> <sup>„...“</sup> eszelonami przez pobojuwisko. Pobojuwisko <sup>„...“</sup> <sup>„...“</sup> pałaszów <sup>„...“</sup> <sup>„...“</sup> ane było trupami dragonów, a nawet <sup>„...“</sup> <sup>„...“</sup> lam się <sup>„...“</sup> <sup>„...“</sup> ich leżało prawdopodobnie rażonych mego konia <sup>„...“</sup> <sup>„...“</sup> łetowemi lub karabinowemi, — gdyż



armat nie mieliśmy. Nie daleko parowu przyjęła nas piechota okrzykiem — niech żyją wołyńce! a generał Różycki całował serdecznie w obec całego korpusu ze łzami w oczach, naszego pułkownika.

Podczas tej gonitwy piechota nasza zrobiła tu już porządek; ranni moskale siedzieli lub leżeli na kilkudziesięciu podwodach, a na pierwszej siedział pułkownik od dragonów z obwiązaną twarzą, ten sam co z naszym dowódcą w obecności dwóch pułków ową sławną walkę stoczył. Przejeżdżając o parę kroków od jego wozu, wbiła mi się w oczy jego fizognomia, jakbym go dziś widział. Niski, krągłej twarzy, rudo zarastający, silnie zbudowany człowiek, — siedział ponury nie patrząc nam w oczy. Oprócz rannych zabrała nasza piechota ośmdziesiąt koni i tyleż zdrowusieńkich dragonów, którzy się w parowie z końmi powywracali, do niewoli.

Wszystko przygotowano już do pochodu i podwozy z rannymi i jeńcami, zostały małym konwojem do Miechowa odesłane, my zaś maszerowaliśmy przez jakąś wioskę, a dalej lesistą okolicą ku Szydłowcowi. W owej wiosce udało się jeszcze naszym strzelcom przetrzepać skórę kozakom, którzy nadciągnąwszy z generałem Słotwińskim najeżdżali naszą straż tylną. Kilkanaście koni

kozackich prowadzili ci strzelcy, zostawiwszy rannych i pobitych kozaków na placu.

Po tej bitwie, gdy nasz kolega wachmistrz Kermizon do szpitalu odszedł, awansowałem na jego miejsce.

Odtąd zostawili nas dłuższy czas w spokoju, — lecz generał Kwietnicki połączony z Słotwińskim czekali tylko sposobności, ażeby pomścić się za zadaną im klęskę pod Iłżą. Cóż to! czyż garstka ruchawki bez armatki, zdoła oprzeć się połączonym ich siłom? Oczekiwali tylko, byśmy w jakiej dogodnej dla nich pozycji stanęli; — i sposobność potemu w krótkce im się nadarzyła...

W okolicy lesistej, mila od miasteczka Przytyki stanęliśmy obozem na wielkiej niby polance, mającej dwa tylko wyjścia, a to gościniec prowadzący lasem do Przytyki i wąską drożynę wiodącą przez różne polanki w tymże samym kierunku. Nie mieliśmy żadnej wiadomości o zbliżaniu się moskali, więc zdawało się, że spokojnie obozować będziemy.

Po godzinie odpoczynku nadjechał adjutant generała Samuela Różyckiego do naszego pułkownika z rozkazem oddzielenia dziesięciu swoich na dobrych koniach jako asystencję generałowi, który sam na rekonesans udać się zamierza. Do

tych zostałem ja, Anaklet Bohdanowicz i ośmiu innych przeznaczony.

Jechaliśmy tedy za jenerałem przez lasy i pola mając zawsze miasteczko Przytyka po lewej ręce. W pół godziny, gdy od obozu już na jakie pół mili odjechaliśmy, spostrzegliśmy dwóch jeźdźców ku nam dążących, w których za zbliżeniem się poznajemy polskich sztabowych oficerów; — jeden z nich przedstawił się jenerałowi jako pułkownik Ułan, drugi zaś jako podpułkownik Berkowicz — potomek niegdyś sławnego kapitana Berka. Jenerał witał ich serdecznie.

Przyczyna, dla której odwiedziny te nastąpiły, przyjęła nas wszystkich radością i wdzięcznością.

„Pan jenerał raczy przyjąć — rzekł pułkownik — osierocony korpus jenerała Dębińskiego, który przedarł się z Litwy i składa się z jednego szwadronu oficerów, jednego szwadronu podoficerów i sześciu armat. Załogą stoimy w miasteczku Przytyka i czekamy dalszych rozkazów jenerała.“

„Uszczęśliwicie Panowie mój szczupły korpus, gdyż szczególnie brak armat dotkliwie czuć się nam dawał“ — odrzekł jenerał, — i ledwie ostatnie słowa wymówił, zagrzmiały działa w naszym obozie. Moskale zastawszy nas w niezbyt, jak rzekłem dobrej pozycji, przypuścili atak z wielką natarczywością.

„Panie pułkowniku! leć do Przytyki i sprowadź mi jak najspieszniej najlepsze działa swoje!“ To rzekłszy, ruszyliśmy galopem do naszego obozu, skąd ogromny huk dział słychać było.

W parę minut prawie, byliśmy na szosie prowadzącej przez las do Przytyki i tu ujrzelśmy piechotę naszą cofającą się i widocznie partą przez nieprzyjaciela z tyłu. W krótko dotarliśmy do przednich rot. Z tyłu ogromna kanonada, kule ryczą nad głowami a czasem obok padają; — co się tam za nami dzieć musi! przepadliśmy w tej cieśninie... Obyż tylko działa z Przytyki jak najrychlej nadbiegły! pomyślałem.

Jenerał kazał nam dziesięciu konnym frontem przed piechotą maszerować, a sam pochwycił część naszej piechoty i rozsypał ją po prawej ręce gościńca, gdzie był las rzadszy w tyraliery; — zaledwie ich ustawił, już chmura dragonów rozsypanych krzyczy „hurah!“ i szarżuje na nich. — Jenerał biegnie na każde zagrożone miejsce, ściąga najbliższych w kupę, którą Iżaka formuje, i rzną do nich na kilkanaście kroków przypuściwszy — z karabinów; — dragoni jedni padają jak kłody, drudzy uciekają.

Samuel Różycki był jenerałem piechoty i miał sławę, osobliwie w rejteradach. Rzeczywiście, imponujący był to widok gdy ten starzec tę cme

dragonów kilkakrotnie odpierał; — nieraz truchlałem, widząc kilkudziesięciu dragonów uderzających na generała, który ledwie kilkunastu swoich naokoło siebie mógł zgromadzić, i tak szczupłą garstką odpierał dragonów. W tem nadciągają i nasze działa z Przytyki pod dowództwem zdaje mi się Kaczanowskiego. — Piechota z radości „hurah!“ zagrzmiała, i rozstąpiła się dla umieszczenia baterji. Niebawem też zagrały nasze armaty i wzmógł się huk aż ziemia zda się drząła w posadach...

Po ruchu wojska naszego uważałem, że od czasu zjawienia się dział naszych wolniej maszerowaliśmy — widocznie parcie ustało. Moskale bowiem, gdy z naszej strony strzały działowe usłyszei, zgłupieli zupełnie i sądzili prawdopodobnie, że wraz z działami i inne otrzymaliśmy posiłki.

Jeśli dalej na uwagę weźmiemy, że już za drugim strzałem koń księcia Wirtemberskiego padł, nie dziw, że w zapale ostygli i poczęli w nacieraniu folgować; — dragonia znikła wkrótce jak kamfora a my wyszedłszy z lasów w pole i uszykowawszy się do przyjęcia bitwy, daremnie na nią do wieczora czekaliśmy. Ogień ręcznej broni trwał wprawdzie do ciemnej nocy, lecz były to tylko strzały pojedyncze, nareszcie zupełnie ustały, i my spokojnie na noc do Przytyki przybyliśmy, gdzie nas już oczekiwały owe szwadrony Dembińskiego.

W samą porę zesłał nam Bóg działa — bez nich bowiem kto wie jaką klęskę mogliśmy ponieść, w takim ostępie pochyceni.

Po wymarszu z Przytyki został korpus nasz znowu wzmocniony wojskiem nowo kreowanym a to, trzema szwadronami mazurek Kuszla i plutonem huzarów, których umundurowanie od huzarów moskiewskich prawie niczem się nie różniło. Podobieństwo to mundurów sprawiło nam raz szkodę a oraz i hańbę, — którą tu opiszę.

Jednego dnia stojąc obozem zdaje mi się pod Opatowem uwiadomiono nas, że moskale mają zamiar w nocy na nasz obóz uderzyć. Naturalnie byliśmy w pogotowiu do przyzwoitego przyjęcia nieproszonych gości, stojąc całą noc pod bronią. Daremne czekanie! Dzień poczynało, a o moskalach ani słychu; — cóż robić? — Korpus ruszył z miejsca z pułkiem wołyńskim jako przednią strażą. Minęliśmy już miasteczko położone w dole i weszli w głęboki wąwóz prowadzący pod szczyt góry, gdy nagle straż przednia otrzymała rozkaz, który brzmiał krótko: „Z koni! i stać przy koniach!“

Pułk nasz zappełnił prawie cały wąwóz a reszta korpusu stanęła w mieście i za miastem. Żołnierze znużeni całonocnym czuwaniem siedzieli bądźto u brzegu wąwozu, bądź drzemali sparci na

koniach, a niektórzy dla ożywienia fantazji szukali między kolegami pełnych manierek.

Na szczycie góry, z którego rozciągał się widok na obszerną płaszczyznę rozpościerającą się u jej podnóża, spoczywało dwóch żołnierzy w przedniej rocie, gdy w tem jeden z nich spostrzegł w odali zbliżający się oddział kawaleryi.

„Moskale czy nasi?“ taka myśl przesunęła się mu przez głowę na widok postępującego oddziału — ale że to było jeszcze szarawo bo ledwie pierwszy brzask dzienny rozpraszał cienie nocy, więc trudno było rozpoznać ubiory i uzbrojenie. Towarzysz, któremu ów żołnierz udzielił swoje spostrzeżenie uspokajał kolegę utrzymując że to nasz pluton huzarów.

Ze zbliżającego się oddziału kawalerji, który na chwilę stanął, podjechał oficer bliżej, przypatrzył się drzemiącemu naszemu pułkowi i na dany znak ręką, ruszył wolno ku nam całym oddziałem, utwierdzając tem samem mniemanie że to swoi, i uspakajając wszelkie obawy. Wreszcie, gdzież można było przypuścić aby dwudziestu moskali z oficerem na czele odważyło się atakować pułk cały, choćby nawet drzemiący?

Lecz tak się stało! I ledwie nasi dwaj żołnierze zwrócili oczy w inną stronę, dobiegły ich naraz zmieszane głosy wrzawy i huki strzałów,

które tak ich przeraziły, że nie próbowali nawet podnieść się z ziemi, lecz skuliwszy się lepiej, pod brzeg się zacisnęli.

Gdy tak na przedzie wrzawa i strzały się rozlegają, — my w środku, parci wstecz przez cofające się nasze konie, nie wiedzą co się dzieje, nie możemy przez strome brzegi wydobyć się z wąwozu. Konie tłoczyły się jak stado owiec — że trudno było odszukać swego; mnie przecież udało się skoczyć na siodło i postępując w tył przy samym brzegu, dostrzedz jakąś ścieżeczkę, na którą skierowawszy klacz moją, wydostałem się szczęśliwie z wąwozu na czyste pole. Za mną wyskoczyło jeszcze kilku. Lecimy więc do góry, gdzie już wrzawa ustała i spostrzegamy dwudziestu dragonów i oficera w znacznej odległości już uciekających. Strzeliliśmy z karabinków i pistoletów za nimi lecz bez skutku, a dopędzić ich było niepodobieństwem. Sześciu naszych z kapitanem Duninem było ranionych a jeden z tych, który ich zbliżających się widział a znać nie dał, dostał płazem pałasza parę sińców na pamiątkę, aby na drugi raz lepiej oczy wytrzeszczał.

Wstydziliśmy się wszyscy tej porażki, lecz nie z powodu braku odwagi, ale z braku rutyny wojennej, której tyle posiadał nasz pułkownik, a niestety nie był w tej chwili obecnym. Nigdy by



nie było przyszło do tej katastrofy gdyby był przytem Różycki — a tak, dla prostego taktycznego błędu, dla nieustawionej gdzie należy szpicy, naraziliśmy się na srom tak dotkliwy.

Moskale widocznie dla niepokojenia nas rozgłaszali fałszywie o ciągle nowych i zamierzonych atakach, bo i drugi raz podobnie, pod innym miasteczkiem czekaliśmy całą noc na nich, ale nadaremnie. Lecz i tym razem — choć w innym rodzaju rezultat tego był bardzo smutny, bo miasteczko w znacznej części zgorzało. Gdyśmy bowiem zmrokiem opuścili nasze obozowisko, mieszczanie zabierali niedopałki z ognisk a nie pogasiwszy ich należycie, do swoich szóp poskładali. — Około północy wszczął się z tego pożar i zrządził tym biednym Indziom znaczne szkody. — Wrażenia tej nocy, która do dziś dnia tkwi mi świeżo w pamięci, sadzę, że nie wypada mi pominąć, zwłaszcza, że i Wy kochani koledzy podobnemu zapewne, ulegliście...

Przez cały ten dzień w obozie, bawiłem się różnemi dykteryjkami z kolegą naszym podporucznikiem Raczyńskim; jedliśmy razem z kociołka — wypili butelkę wina — spiewaliśmy jego ulubioną piosenkę „*Il faut pour ma felicite*“ — a ku wieczorowi uczuliśmy obydwaj jakąś niedyspozycję. — Pókiśmy stali na własnych nogach, nie było

tak źle; ale wieczorem gdy przyszło konno maszerować, pogorszył się nasz stan znacznie; — a gdy za miastem pułk nasz do przyjęcia mniemanego napadu frontem z lancami do ataku się postawił, już było nie do wytrzymania tak, że pułkownik to zauważał, i do furgonów odejść nam rozkazał. Pośród ciemnej nocy wałęsaliśmy się z pół godziny nadaremnie, — furgonów nigdzie odszukać nie było można! Nadybaliśmy tylko nasze armaty na gościńcu, i niedaleko tychże zsiadłszy z koni pokładaliśmy się na pagórku krzakami zarosniętym. Chwila spokojnego zachowania się i spoczynku, usmierzyła symptoma słabości; nie dziwi więc, że w takim stanie przy spokojnem zachowaniu się trzymanyh za cugle koni, w parę minut błogo pozasypialiśmy. — Nie wiem jak długo to trwało, — gdy w tem, wrzawa zdaje się pochodząca od miasteczka, przebudziła nas!... Coż to za wspaniały widok przedstawił się oczom naszym! Armia uszykowana do boju, której w ciemnej nocy wprzód nie widzieliśmy, — teraz oświetlona łuną gorejącego miasta, przedstawiała jakby poczet martwych, nieruchomych zastępów. Później nieco, masy te rozpoczęły niemą defiladę, która na myśl „czy nie moskale to?“ zgrozą nas przyjęła. Było to od nas tak daleko, że ani mundurów rozpoznać ani komendy słyszeć niemogliśmy, — a ten pożar w nie-

ście utwierdzał nas w mniemaniu, że Moskale dla oświetlenia pola bitwy miasteczko zapalili, a teraz naszych szukają. Co tu robić? Jak się o tem przekonać?... przypomniałem sobie armaty nasze, i w tym kierunku chyłkiem pobiegłem. Armaty stały w tem samem miejscu spokojnie, bo przyczyna ognia już im była wiadomą. Niebożęta mieszkańce! pomyślałem, — za tymi przekłętymi Moskalami, choć ich nawet nie ma, wszędzie jak to mówią „ogony rosną.“ — Wróciwszy do Raczyńskiego, unosiliśmy się jeszcze długo nad tym z jednej strony smutnym, ale cudownym i pełnym majestatycznej grozy widokiem.

Jakieś feralne dni dla nas nastąpiły, bo wkrótce mieliśmy znów smutne zdarzenie.

W okolicy Wierzbicy pokazał się podczas marszu nieprzyjaciel pod lasem. Odprzodkowano działa, przy których część naszego pułku i pluton jazdy Tatarów pod dowództwem rotmistrza Bielaka, dzielnego żołnierza, stanął w asekuracyi, -- reszta naszego pułku rozsypała się w tyraliery przeciw kozakom. Ja stałem w asekuracyi dział na prawem skrzydle przy poruczniku Weleżyńskim, a przy nim stał pluton Tatarów. Utarczka tyralierów z kozakami szła niepomyślnie; raniono nam bowiem zaraz przy pierwszej wymianie strzałów konia a później żołnierza. Żołnierz ten, ranny w nogę, przy-

jechał do nas i opowiadał, że w natarciu na kozaka, gdy do niego już tylko na dziesięć kroków zbliżył się, ten lancą rzucił, trafił go w nogę a sam uciekł. Rotmistrz Bielak oburzony tem opowiadaniem — „szarżę na tych łotrów niech przypuszczają nasi tyralierzy, powiedział, bo gotowi nam więcej szkody zrobić! ale ja ich sam poprowadzę!“ dodał — pocisnął konia i poleciał galopem.

Trzeba wiedzieć, że tyralierzy zrażeni temi dwoma wypadkami, cofnęli się, i może o pięćset kroków ucierali się. Rotmistrz Bielak lecąc w galopie był bez wątpienia o jakie co najmniej osmset kroków od kozaków oddalony, gdy w tem pada raptem z konia. Sądziłiśmy, że spadł przypadkiem, — lecz tymczasem podoficer od Tatarów, który natychmiast na miejsce wypadku poleciał, wróciwszy z płaczem opowiadał nam, że go kula przeszła. Tatarowie wszyscy rzewnie płakali i z nas nie jeden od łez wstrzymać się nie mógł, wszyscy go bowiem jako tęgiego żołnierza i dobrego kolegę nadzwyczajnie poważali. Mieliśmy zamiar, pogrzebawszy rotmistrza w miejscu, na którym padł, krzyż na pamiątkę postawić, lecz Tatarowie z Litwy zachowując swoją dawną religię, zamiast krzyża, słup z odpowiednim napisem wkopali.

Wspomnieć tu muszę, że rotmistrz Bielak prawie samochcąc zginął. — ponieważ jakimś fata-

lizmem pchnięty, poleciał tam bez żadnego rozkazu.

Wielu moich kolegów, z którymi nieraz o tem mówiłem, byli bardzo skłonni wierzyć nawet w fatalizm — i opowiadali, że kilkanaście dni przed tym wypadkiem, w miasteczku Przytyka, jakaś żydowica przy uczcie wróżyła śmierć rotmistrzowi Bielakowi i porucznikowi Dłuskiemu. Śmiali się naturalnie wszyscy obecni, — lecz gdy Dłuski na cholereę a Bielak od kuli zginął, każdemu przyszła na myśl żydówka wróżbitka — a Czajkowski nawet ubarwiając po swojemu, w swoich pamiętnikach o niej wspomina.\*)

Cóż znaczą znowu owe jakieś przeczucia? Pamiętacie kochani koledzy owego oficera naszej armji, który zwykle w dobrym humorze, raptem posmutniał i o swem złem przeczuciu opowiadał.

\*) Podobne wypadki wyczytujemy często w innych opisanjach wojen; — tak n. p. w czasie wojny Napoleona I. w Egipcie, — wróżbit, czerwony arab przestrzega marszałka Desseux, aby się strzegł przed księdzem w Marengo i Desseux miał rzeczywiście od księdza zginąć!... Zajączek miał amulet, i z nim odbywał szczęśliwie bitwy; razu jednego zapomniał go ubrać i został ciężko rannym! I nie ma prawie wojny żeby coś podobnego się nie wydarzyło. Dziwne to zaiste i trudne do uwierzenia! Lecz pomimo zdrowej refleksyi, więcej skłonni jesteśmy wierzyć jak temu zaprzeczać; niezgłębione są bowiem tajemnice przyrody.

— Tej samej nocy konie nasze upięte do sznura, płoszą się nie wiedzieć z jakiej przyczyny, porywają z sobą lance gdzieś obok znajdujące się, i przebijają niemi nieboraka śpiącego! A ja, czyż nie muszę wierzyć, że jest jakaś Istota opiekująca się nami? W bitwie pod Iłżą napadają mię kurcze, których nigdy przedtem ani potem nie doświadczałem i ratują mię od niechybnej zguby, o którym to wypadku wyżej pisałem; później znowu pod Lipskiem szczęśliwym trafem wyratowany zostałem — co przy sposobności opowiem. Pytam więc, sąż to same przypadki? Bielaka pędzi coś na śmierć — bo on prawdziwie szukał tej kuli, która nawet do niego nie była wymierzona — a ja dwa razy tak szczególnym sposobem wyratowany zostałem! —

Lecz wracam do mego opowiadania.

Koniec tej smutnej utarczki pod Wierzbicą był, że kozacy uciekli, a reszta moskali, która się pod lasem okazała, znikła i my maszerowaliśmy dalej, pogrążeni w smutku za naszym dzielnym rotmistrzem.

Dzień jeden nie minął w spokoju, — generałowie bowiem moskiewscy Kwietnicki i Słotwiński nagromadziwszy znaczne siły, bezustannie nas z miejsca na miejsce pędzili. Nieraz udało nam się gdzieś jakiś ich oddział przetrzepać, przy których to utarczkach ja udziału nie miałem. Maszerowaliśmy

więc prawie bez wytchnienia, ale smutny to był taki pochód i gdyby nie różne zabawne przygody, które nasze jednostajne życie ubarwiały, kto wie, czyliby się demoralizacja nie była wkradła do wojska naszego.

Serdecznie uśmieliśmy się niejednokrotnie z różnych zdarzeń. I tak, staliśmy raz obozem pod jakąś miejsciną, — a ponieważ moskale znikli nam z oczu, wybrałem się z kolegą Opolskim do tego miasteczka, ażeby się czemś posilić i nieco dla kolegów przywieźć. Wynaleźliśmy restaurację, przy której żadnej stajni dla pomieszczenia koni nie było, więc byliśmy zmuszeni popytać konie do żłobu w domu zajezdnym opodal stojącym i Opolski, pomimo mojej perswazyi, rozsiadł swego. Po uprzątnięciu się z końmi udaliśmy się do restauracji, w której mnóstwo naszych za stołem na dopiekającą się pieczeń cielecą czekało. W nadziei, że i nam się coś z tego okroi, zasiedliśmy również do kompanji połykając ślinkę na widok rumieniejącej się ćwiartki. W tem wpada dziewczyna z lamentem: „Moskale idą!“ Tłoczmy się jeden przez drugiego na dwór, — w rynku wrzawa — „moskale idą!“ — wszystko ucieka gdzieś, wzbijając kłęby kurzu w powietrze. Biegnimy do naszych koni, — ja w momencie siedziałem na swoim, ale kolega Opolski musiał swego dopiero siodłać.

— A nie mówiłem ci abys nie zdejmował siodła?!

— Zmiłuj się, nie zostawiajże mię bracie na pastwę tych bestji, prosi Opolski.

— Bądź spokojny, nie opuszczę cię! i stanąłem w bramie z lancą do ataku. — Ale siodłaj szybko!

Opolski zaniepokojony, chwyta za siodło, rzuca na konia, mundsztukuje i nareszcie chce konia od żłobu odwrócić, lecz ten opiera się, jakby mu żal było pozostawić smaczne siano za drabiną.

— Siadajże prędko! bo w mieście jeszcze większa wrzawa, zapewne muszą być blisko, — lecz kilkakrotne usiłowanie skierowane ku obróceniu konia, okazało się daremne.

— Przeklęta bestja, ani rusz nie da się odwrócić — odrzekł Opolski i kopnął konia w bok, — a koń stoi jak wryty!

Nareszcie zniecierpliwiony w najwyższym stopniu podjeżdżani na drugą stronę i parsnąłem ze śmiechu. — Opolski rzucając siodło na konia, zachwycił ryngortem drążek oddzielający w stajni konia od konia i osiodłał go razem z tym drążkiem. W momencie potem siedzieliśmy na koniach, lecimy do obozu, a po drodze dowiadujemy się że fałszywie zostaliśmy zaalarmowani, — moskali nigdzie nie było! Opolski niechętnie słuchał, gdy



o tem wspominałem, a ja dłuższy czas, a nawet i obecnie serdecznie się śmieję, gdy zdarzenie to na myśl mi przychodzi.

Parę dni później, stanęliśmy obozem nad wieczorem w lesistej okolicy, — a widać, nieprzyjaciel musiał być blisko, skoro nam ogni rozkładać nie pozwolono. Deszcz obfity począł padać, więc robiliśmy baraki wprawdzie z miękkim posłaniem paprociowem ale pokryciem z gałęzi szpilkowego drzewa, które tak było przepuszczalne, że wkrótce choć w barakach przemokliśmy do nitki.

Okolo północy zawołano po cichu nasz pluton do koni, i wysłano na rekonesans, ponieważ wedeta gdzieś wystrzeliła. Deszcz lał ciągle a przy tem tak było ciemno, że zaledwie mógł się pluton zebrać i wsiąść na koń, zostawiając kilku żołnierzy których odszukać było niepodobieństwem. Jeden tylko koń Wizoskiego odpiął się sam od sznura i stanął przy mnie w szeregu. „Wizoski! Wizoski!“ wołaliśmy głucho, ale nadaremnie! Koń poszedł luzem obok mnie na patrol.

Zwolna, cicho maszerowaliśmy jakiś czas, w tem: „stój! kto idzie?“ ozwał się wiodący nas na przedzie. Niema odpowiedzi, postępujemy dalej: „Stój! kto idzie?“ zapytał powtórnie. I tą razą nie doszła nas odpowiedź, a przecież widzimy że ktoś stoi. Maszerujemy bliżej, obiekt zarysowuje się

wyraźniej, nareszcie przychodzimy, jak Don Kiszot — do młyna wietrznego pustego.

Nienatrafwszy nieprzyjaciół wracamy do obozu, a koń Wizoskiego odbywa bez właściciela porządnie, rekonesans. Filut Wizoski, znalazł gdzieś dobre schronienie przed deszczem i śpi, podczas gdy my daremnie przemoknięci do nitki włóczyć się musimy — mówiliśmy sobie. Zbliżyliśmy się nareszcie do obozu, już słyhać chrupanie koni, — w tem „oj! oj!“ wrzasło pod nogami konia Wizoskiego... „Co to? kto to?!“ zapytałem. „To ja! — ozwał się głos, — psia wiara wlaźł mi na samą głowę!“

Był to Wizoski, który spał w bruzdzie przemoknięty jak my wszyscy, i jego własny koń włosy mu przydeptał. „Toż to twój własny koń! rzekłem, który z nami cały rekonesans odbył.“

Śmialiśmy się z tego wypadku, a Wizoski, któremu w pierwszej chwili na płacz się zbierało, śmiał się najwięcej i całował swego konia, że taki mądry i na całą głowę mu nie stanął.

Nie było już co myśleć o spaniu; chodziliśmy między kolegami szukając za jakimś śniadaniem, i dowiedzieliśmy się przytem, że drugi rekonesans wysłany w przeciwnym kierunku, szczęśliwszy od nas, zdobył i przyprowadził piętnaście koni. Przy brzasku dnia idziemy oglądać zdobyte konie i po

drodze dowiadujemy się że nie ma się po co trudzić, bo to konie naszego pułku. Rekonesans również nasz, który konie przyprowadził, opowiadał w nocy, że natrafiwszy na oddział moskiewski, zaatakował go i po zaciętej obronie, zsadził lancami piętnastu moskali z koni i te zabrał — a reszta uciekła. Utarczka naturalnie, odbyła się z powodu przemoknięcia karabinów, bez strzałów. Po wschodzie słońca jednak, okazało się, że to konie nasze, i rozpowiadano, że rekonesans maszerując cicho, nadjechał na placówkę, która pozłaziwszy z koni siedziała i drzemła pod dębami trzymając konie za cugle. Usłyszawszy nagle jakąś kawalerję nad swojemi głowami, usunął się każdy raczkiem w las, zostawiając konie na Bożej opiece. Rekonesans w mniemaniu że ma konie moskiewskie w ręku, wymyślił historją bitwy.

Czekamy więc co powie placówka, która wkrótce pieszo nadejść powinna, — i rzeczywiście w godzinę może idzie piętnastu ludzi z lancami na plecach.

— Gdzie konie? pytamy.

— Niestety! moskali taka siła napadła na nas, — opowiadali, — że niepodobna było obronić się; skłuliśmy kilku a na koniec byliśmy przymuszeni skryć się w lesie.

Śmialiśmy się wszyscy z tego wypadku, a żołnierze w uwzględnieniu że to była noc bardzo przykra, wywinęli się jakoś przed karą na jaką zasłużyli. Skończyło się na ostrem napomnieniu.

Naprzykrzyły się już nam były te ciągle rejterady bezowocne i z tego powodu zaczął nawet nasz pułk szemrać przeciwko temu, gdy razu jednego jakby dla złagodzenia tego nieukontentowania dostajemy rozkaz przygotowania się na wyprawę, która tej samej nocy w połączeniu z piechotą na obozujący pułk kozaków przy miasteczku, (którego nazwiska nie pamiętam) ma się odbyć. Plan był dobrze obmyślany! Piechota miała na przód drogi poobsadzać, a my zaś w kilku oddziałach na kozaków uderzyć.

Cichuteńko więc podstąpiliśmy pod miasteczko, — piechota obsadziła przesmyki, — a my, podzieliwszy się na kilka oddziałów uderzamy na obóz z przeciwnej strony; lecz kozaków już tam nie było! Wreszcie słyszemy rotowy ogień, — lecimy tam i dowiadujemy się, że jeden oddział naszej jazdy wpadł na naszą piechotę, która sądząc że to kozacy rotowym ogniem go przyjęła, — szczęście, że nikogo nie trafiła! Dopiero gdy nasz oficer po polsku zakomenderował: „teraz na nich! nie dać im nabić!“ krzyknęła piechota nasza: „stój! stój! to swoi!“ — Wyjaśniło się też wkrótce dla

czego kozacy się wynieśli. Żydówka jakaś z nia-  
steczka wyszedłszy w nocy na dwór, spostrzegła  
ruch naszego wojska, i wysłała swego synka do  
obozu kozackiego z tem uwiadomieniem; kozacy  
cichutko się wynieśli, a my, gdy się dzień zrobił  
zamiast kozaków do niewoli zabranych, żydowicę  
ową z synem prowadziliśmy, nad którymi drugiego  
dnia sąd wojenny się odbył.

Znowu po różnych marszach i kontrmar-  
szach, szliśmy lesistą okolicą do Końska. Oficer  
moskiewski, wzięty przez naszą tylną straż do nie-  
woli i przedstawiony generałowi, zeznał, że silna ich  
armia w ślad za nami postępuje. Pomimo tego  
stanął korpus nasz obozem pod Końskiem przy  
samych ogrodach. Poczciwi mieszkańcy witali nas  
serdecznie, przynosili różne pożywienie; — dzie-  
wczęta, chłopcy chodzili śmiało po obozie i przy-  
patrywali się nam, czego im nie wzbraniałszy,  
i owszem obdarowywaliśmy niektórych pieniędzmi.

W nocy jeden z chłopców, który był w obozie,  
i oglądał barak generała, wyszedłszy na dwór, usły-  
szał jakieś wojsko cicho maszerujące ulicą, — więc  
podsunął się do płotu i z mowy rossyjskiej wniósł,  
że chcą obóz nasz napaść. W jakim ubiorze wy-  
szedł poczciwy chłopiec na dwór, w takim pobiegł  
o wiele krótszą drogą przez ogrody do obozu,  
dążąc wprost ku barakowi generała. Po drodze

zatrzymała go wedeta zwykłym kto idzie? „E to ja, Bartek, biegnę do generała, bo tam pod miastem ćma moskałów wali się a wali. Żołnierz wskazał mu barak generała i Bartek opowiedział co widział i słyszał.

Wkrótce też stanął cały korpus na nogi i po cichutko maszerowaliśmy do lasu gościńcem — jedynym, nieobsadzonym jeszcze przez wojska moskiewskie.

Wchodząc do lasu słyszeliśmy turkot dział otaczających nasz obóz, — potem rzęsimy ogień karabinowy a nareszcie strzały armatnie, — lecz nas tam już nie było! Kilku oficerów naszych zabawiało się do późnej nocy w miasteczku, a gdy im znać dano że moskale maszerują, siedli na koń i podchmieleni dążyli do obozu, lecz w obozie zastali już piechotę moskiewską. „*Kto idiot?*“ zapytano. — Oficerowie zgłupieli! ale jeden z nich, więcej może pijany: „a wy tu drąby co robicie?“ zapytał; — poczem nastąpiła salwa całych szeregów. — „Gałgany! nawet strzelać nie umieją!“ krzyknął tenże sam oficer, i pocisnąwszy konia, wraz z kolegami szczęśliwie do nas dotarł.

Strzały armatnie padały ciągle do naszych ognisk.

W tydzień może później maszerował pułk nasz w eszelonach ku jakiejś wiosce na wzgórku położonej, gdzie jak nam doniesiono, miała być

kawalerja nieprzyjacielska. W znacznem jeszcze oddaleniu od powyższej wioski okazał nam się oddział dragonów, złożony z dwudziestu ludzi i oficera, uciekających galopem ku lasowi; — chodziło nam o to, ażeby ich nie dopuścić do głównej armiji, — ruszyliśmy zatem równie galopem za nimi.

Wzdłuż lasu rozstawiono pułk w kilku oddziałach, a z jednym sam pułkownik Różycki na czele popędził gościńcem w ślad za uciekającymi.

W tej pogoni związał się i padł koń pułkownika i ten wypadek, wstrzymał oddział, ażeby pułkownikowi usłużyć; — jeden tylko podoficer Anaklet Bohdanowicz — cwałujący po za wszystkimi, zobaczywszy, że wszystko wstrzymało się wokoło pułkownika, niehamuje w biegu swego konia, lecz pędzi dalej mając trzech czy czterech żołnierzy koło siebie. Oddalił się tym sposobem tak znacznie, że już ani swoich w tyle, ani dragonów przed sobą nie widział. Wlatują na drogę krzyżową i widzą ślady dragonów na prawo: skręcają więc również w prawo i wkrótce spostrzegają dragonów tuż przed sobą sformowanych frontem ku nim. To Anakleta uidekoncertuje, uderza w czterech na dwadzieścia i jeden — i zabiera wszystkich do niewoli. Nim nasi nadbiegli, już dragoni stali rozbrojeni.


Prawda, że Moskale wiedząc, że są prawie otoczeni, rzucili broń bez rozlewu krwi, ależ zawsze był to dowód pięknej odwagi ze strony Bohdanowicza, gdyż nie mógł się tego spodziewać. Szlachetnie postąpił sobie także z oficerem, który przestraszony, trzos z pieniędzmi i wszystko co miał oddawał, byle mu nic złego nie robiono. Anaklet tego wszystkiego nie przyjął, tylko broń odebrał.

Ładownica owego oficera wisi do dziś dnia jeszcze u Anakleta jako pamiątka, że go po tej aferze na oficera awansowanego, — zdobyła.

Wypisałem tu te tylko wypadki, które mi w pamięci zostały, i być może, że dziś po tylu latach, porządku w jakim po sobie następowały, miejscami nie zachowałem, nie mniej są one przeto prawdziwemi. — Przez ciąg prawie dwumiesięczny od czasu bitwy pod Ilżą aż do wzięcia Warszawy, ileż to utarczek, w których ja udziału nie miałem, ile różnych przygód wam znowu kochani koledzy jest znanych! Niezrażliśmy się nigdy, chociaż widocznie dążyła sprawa nasza ku upadkowi, a nawet i w perjodzie, gdy Moskale proklamację rozrzućili w korpusie naszym, nie traciliśmy otuchy! — Proklamacyą tę, zawiadamiającą nas o wzięciu Warszawy, i wystawia-



jącą niedorzeczność prowadzenia dalej wojny, spaliliśmy z całą ostentacją na pałaszach, w czworoboku z wszystkich oficerów i wyboru wojska stromowanym, przy śpiewie: „Ojczyzna długo gnębiona...”



### III.

#### L i p s k o.

Drugiego, czy trzeciego dnia potem zbliżał się generał Romarino z swoją armiją po prawej stronie Wisły ku Kaźmierzowi i Janowcu, gdzie moskale przy moście silnie się oszańcowali. — Porozumiawszy się, jak się później dowiedziałem, z Samuelem Różyckim, miały obadwa nasze korpusy jednocześnie na ten most uderzyć, i naturalnie odebrać go z rąk nieprzyjaciół.

Był to plan doskonały, bo połączone dwie nasze armije stanowiłyby znaczną przewagę nad armiją Rüdigera, który tylko o dwie mile od nas w Radomiu stał obozem, — ale należało go przeto szybko i z wszelką punktualnością wykonać.

Przystąpiono rzeczywiście zaraz do wykonania tego planu, a pułk nasz na tę wyprawę szedł w przedniej straży.

Nad wieczorem okazał się nam Janowiec i Kaźmierz w znacznej odległości. Wyszedłszy z lasów maszerowaliśmy pojedynczo jeden za dru-

gim, aby nieprzyjacielowi większą siłę okazać, a było to jeszcze tak daleko, że chyba z dział Krupa kule nas dosięgnąć mogły, jednakowoż gdysmy się tylko okazali strzelano z dział, których kule nie wiedzieć którędy leciały; — widocznie były to sygnały dla Radomia.

W niewielkiem oddaleniu od miejsca, gdzie moskale nas zoczyli, przenocowaliśmy spokojnie na górze jałowcem podszytej. Pamiętam, kazano nam gęste ognie porozkładać, co spowodowało, że prawie cała góra z jałowcem zajęła się, tak, żeśmy nieraz z miejsca na miejsce przenosić się musieli.

Z pierwszym brzaskiem dnia 12go Września znowu grzniały działa mostowe, i znowu kul nie słyszeliśmy — ale być może, że tą razą były rzucone do zamku w Janowcu, który podług opisanja Komorowskiego, część naszej piechoty rano obsadziła; dosyć, że strzelano w wieczór strzelano z rana, a o jenerale Romarino ani słyhać, i my ani mostu nie odbieramy ani z miejsca się ruszamy. Dopiero około południa kazano pułkowi naszemu kielznać konie, poczem dalej jako przednia straż do Chodczy pomaszerowaliśmy, w obawie że kaźdej chwili Rüdiger z lasów ciągnących się po prawej stronie gościńca zaskoczy nas i nieomylnie

rozbije. Odetchnęliśmy dopiero swobodnie, gdy Chodcze mieliśmy za sobą.

Chodcza leży nad bagnistą rzeką i stawkiem, przez które ciągnęła się dość długa grobla pokryta kilku mostkami. Po minięciu więc tej miejscowości, byliśmy bezpieczni i stanawszy na górze koło folwarku Wulki Soleckiej, karmił pułk swe konie.

Ale nie był to już ten sam zawsze wesoly pułk wołyński! Każdemu nasuwała się myśl: co dalej będzie? W domu niejeden zostawił żonę, dzieci, majątek, wszystko najdroższe porzucił w najlepszej nadziei — czyż je zobaczy kiedyś jeszcze? Podobnemi myślami gnębieni, spoglądaliśmy na równiny, któremi korpus za nami miał postępować, przewidując lada chwili nadejście armji Rüdigera. I rzeczywiście, ledwie ujrzelśmy cofający się korpus, zagrzmiały działa z pod lasu — cała armja Rüdigera wystąpiła i posuwała się na prawe flanki naszego wojska.

Naprzeciw kilku pułkom jazdy sforującym się naprzód, rozsypała się piechota pułku naszego legji litewsko-ruskiej pod dowództwem pułkownika Kwiatkowskiego i oddział jakiejś innej piechoty w tyraliery, która jednak przez pierzchnięcie tych ostatnich, w taki nieład wprowadzoną została, że prawie do ostatniego żołnierza z pułkownikiem wpadła w niewolę. Klęska ta jednak dozwoliła re-

szcie naszej armji, mimo gradu kul i kartaczy aż pod Chodczę podstąpić, a następnie pod osłoną naszych dział, korzystnie na wzgórku ustawionych i dzielnie rażących nieprzyjaciela, przejść groblę i mosty pozrywać. Dowodem tego było to, że armja przyszedłszy na nasz wzgórek, paręset sążni od Chodczy oddalony, obozem stanęła, furaz dla koni z folwarku zarekwirowała, i rannych w stodołę, których odwiedzać chodziłem, ulokowała.\*)

Zbyt długo oczekiwał Różycki (jenerał) na przybycie Romarina, i stąd to przyszło do tej katastrofy. Postępek ten Romarina nie lekkomyślnością ale zdradą haniebną nazwaćby wypadało, ponieważ przez to armja nasza na zupełną zgładę narażoną została; — tem bardziej go piętnuję, gdyż jak mówiono, porozumienie obu jenerałów, co do wspólnej akcji przeciw Rüdigerowi, miało miejsce! Dziwna tylko, dla czego armja Rüdigera tak późno nadciągnęła!.. Niepodobna znowu, ażeby 2-milowa przestrzeń oddzielająca od nas moskali, mogła im tyle czasu zabrać, i tak konie pomęczyc jak to Komorowski opisuje! — Owszem, kawalerja ich całą resztę dnia ślad w ślad za nami postę-

---

\*) Patrzal nasz cały pulk na tę rejteradę przez groblę, a przecież nie widzial tej haniebnej ucieczki „*sauvez qui peux*,” jak się o niej pamiętnik hr. Komorowskiego wyraża.

pując, — pod Lipskiem, gdy nas dla uratowania reszty armji na zgubionym poczcie zozstawionych kartaczami rozbito, — w największym pędzie ścigała.

Niewiele pomogło zerwanie mostów na grobli, bo ledwie ulokowano rannych i kawalerja zaczęła konie karmić, już były mostki postawione, i jak zwykle, pierwsi kozacy zjawili się na naszej stronie.

Nieposiliwszy się nawet należycie, ruszyła nasza armja otwartem polem ku Lipsku, mając w niejakiem oddaleniu po prawej i lewej stronie lasy.

Pułk nasz jazdy wołyńskiej i jeden batalion piechoty z działami, tworzyły tylną straż, lecz batalion poszedł poza las na lewo, my zaś zostaliśmy w asekuracji armat. Niebawem też okazały się baterje moskiewskie, — rozpoczął się ogień działowy, lecz ten nawet do szybszego pochodu nas nie zmusił, — owszem maszerowaliśmy wolno, noga za nogą i w pełnym porządku, w połowie stojąc frontem, podczas gdy druga połowa maszerowała aż pod samo Lipsko. Podziwiałem zimną krew naszych artylerzystów i zwinność ich w obsłudze dział; a co się tyczy doniosłości armat, nie znalazłem aby moskiewskie dalej niosły — o wiele celniej strzelały nasze! Być może, że tylko z lepszych strzelano.

Pod Lipskiem, położonem u spadku niewielkiego wzgórza, zatrzymaliśmy się dłużej na wzgórku dominującym o paręset kroków nad tem miasteczkiem, ażeby naszemu korpusowi dać więcej czasu do przejścia niekorzystnych pozycyj. Nieprzyjaciel tymczasem zbliżył się tak szybko, że każdą kulę naszą rozrywającą szeregi moskiewskie widzieliśmy wyraźnie i prawie za każdym strzałem sypaliśmy brawa dzielnym naszym oficerom Freze i Kaczanowskiemu. Lecz i moskale zaczęli lepiej już strzelać; — pamiętny mi granat, który się prosto ku mnie i Marcinowi pod nogi koni naszych toczył! Nieustępowałem, boś i ty stał niewzruszony kochany kolego, i jakoś szczęśliwie pękła skorupa nie doleciawszy do nas, czerepy tylko sypały się w około.

Parogodzinna rejterada w ogniu a prawdopodobnie chęć zaoszczędzenia nas, spowodowała zapewne generała do zmiany pułku i przysłania na nasze miejsce dwóch szwadronów jazdy mazurów. Mazury stanęli frontem koło baterji, co do nas to szliśmy stępa rotami ku miastu, i już pierwszy szwadron wszedł i schował się w ulicę, gdy okrzyk koło dział „Wołyńce! działa przepadły!“ przeraził nas ogromnie.

Mazury zapewne przestraszeni granatami wpadającymi im pod nogi, zostawiają działa i galopem

pędzą za nami. — Nam żal się zrobiło armat, których najczęściej sami broniliśmy od zaguby; — dwa więc szwadrony, które jeszcze nie weszły do miasta zwracają się bez komendy i stają frontem pod miastem. Zawstydzili się mazury i sformowali się za nami.)

Baterja nasza strzeliwszy jeszcze parę razy, poszła do miasta za korpusem, a my zostaliśmy prawie przyciśnięci do płotów ogrodowych przedmieścia, na lewo od głównego gościńca.

Wkrótce zjawia się wśród nas generał Różycki. — „Wołyńce! zawołał, dajcie mi słowo, że dotrzymacie placu, dopóki dział i piechoty wam nie przyprowadzę, a wtedy stoczmy tu bitwę którą przy dzielności waszej, da Bóg! wygramy!“ — „Dajemy słowo! niech żyje nasz generał!“ — krzyknęliśmy jednogłośnie.)

Jeszcze jeden batalion piechoty, który w początku rejterady poza las poszedł, okazał się na gościńcu poprzecznym między nami i armją moskiewską, na bliski strzał działowy i został gradem kul powitany. — Batalion jednak szedł w zwartej kolumnie wolno krok za krokiem, jakby to nie kule lecz chrząszcze w około niego latały, lub jakby wcale nie brał udziału w bitwie. Truchlałem patrząc na ten dziarski batalion! — Jedna kula rzucona w kolumnę mogłaby kilkunastu zabić, lecz prze-



szedł szczęśliwie i za korpusem przez miasto podążył. Tu mimowolnie przyszło mi na myśl, że niesłusznie podpity nasz kolega pod Końskiem, nazywał moskali „gałganami“ — ja przeciwnie w duszy pomyślałem: — „pocziwce! nie umieją strzelać!“ — Wszystko tedy już poszło, tylko nasze dwa szwadrony, i dwa szwadrony mazurów, zostało przy ogrodach.

Nastąpiła chwila złowrogiej ciszy, jak to zwykle przed wielką burzą bywa.

Działa zamilkły!... Armja moskiewska — na przedzie kilku bateryj, dwa pułki dragonów na prawo i jeden pułk kozaków na lewo, — postępowała stępo ku nam. Nareszcie zbliżają się tak dalece, że z pistoletu dostrzelićby ich można, — już odprzodkują działa — słyszemy trąbkę i komendę ich — „*Prykrati!*“ a my z miejsca nie ruszamy, bo daliśmy słowo generałowi, za którym daremnie patrzymy.

Wkrótce też zagrzniały działa. — Grad karczący rozbił nasz front, a obydwom rotmistrzom, jedynym naszym dowódczcom — Przyborowskiemu i Grudzińskiemu ubito konie, my jednak dalej czekamy na piechotę i działa, ufni w obietnicę generała i wierni danemu słowu.

Ale przyobiecana pomoc wcale nieprzybywała...

„Zdradził nas!“ zawołało kilku. „Uderzmy na baterię!“ wołali drudzy, — lecz już nie było komu wykonać tego zamiaru. Połowa była prawie bez koni! Kilkakrotne salwy kartaczowe ogromną lukę zrobiły, a tu coraz to groźniej ryją ziemię kartacze, coraz to gęściej pękają i znowu konie i ludzie sypią się jak gruszki na ziemię.

Nieborak Matusiewicz obok mnie w pierś ugodzony kartaczem zwałił się nieżywy, a krew jego obryzgała mię całego. Mimowoli więc, (bo same konie niebożęta rwały się z tego piekła), zwracamy wtył ku drodze jedynie zostającej nam do odwrotu a przez przedmieście prowadzącej, — lecz ażeby się tam dostać, trzeba było wzdłuż płotów przez ogień kartaczowy przelatywać. I to przetrwałem! — Skręcam w prawo ku ulicy, w największym pędzie konia, lecz że to było cokolwiek z góry, koń mój pada i rzuca mną o kilka sążni naprzód. — Nim się podniosłem, już konia nie było, — a ja, zebrawszy wszystkie siły biegłem pieszo na równi z końmi między ostatnimi szeregi uciekających; — dragoni tuż, tuż za nami. Zmęczony, biegnę dalej ulicą, ale widać przeznaczenie chciało inaczej. — Adjutant nasz N... nadjeżdża na mnie i powala mię o ziemię koło samego opłotka. Przepadłem! dragoni o kilka kroków ode-

mnie, — wydobywam więc resztki sił, przeskakuje opłotek dość wysoki i tem ratuję się wreszcie!

Uciekam dalej ogrodami pomiędzy budynki, łączę się w drodze z jednym mazurem z jazdy, (która działa odbiegła) i uciekamy dalej we dwójkę. Koło jakiejś szopy nasunęła mi się myśl, zrzucenia munduru z galonkami wachmistrzowskimi, gdyż słyszałem, że moskale pastwią się nad szarzami;— zrzucam więc mundur i uszedłszy parę kroków dalej, słyszę za budynkami pędzących dragonów. To każe mi skryć się z mazurem w pierwszy lepszy budynek — w stajenkę łączącą się pod prostym kątem z szopą, koło której mundur zrzuciłem.

Tu już bezpieczniej aniżeli na dworze! pomyślałem oddychając. Lecz trzeba postanowić coś na przyszłość, zabezpieczyć się na czarną godzinę.

Ze stajenki wdrapałem się na strych owej szopy, gdzie było zboże w snopach i siano złożone. — Mazur nie chcąc mi na górę towarzyszyć, pozostał na dole. Ze strychu zaglądnąłem dziurą w dachu i zobaczyłem dragona na podwórzu stojącego, który bez ustanku wrzeszczał: „hurah! hurah!“ Rozebrawszy się w momencie, pochowałem rzeczy w jednym rogu a sam skryłem się w drugim na spód tych mierzwi, których warstwa blisko sążnia mogła wynosić. Tu przypomniałem

sobie, że mundur właśnie koło tej szopy zrzuciłem. Moskale znajdą go niezawodnie i będą za właścicielem szukać w budynku. Dusza u mnie była, jak to mówią na ramieniu... Działa grały już za miastem i ciągle się oddalały, a po miasteczku robili moskale formalne polowanie na naszych, którzy potraciwszy konie, w różnych miejscach się kryli. Wrzaski „Ławi! ławi!“ strzały, jęki i wołania „pardon! pardon!“ obijały się o moje uszy. Nie lepiej będzie i ze mną — pomyślałem. I rzeczywiście, o włos, a byłbym się dostał w moskiewskie pazury.

Po kilku minutach, gdy się już w mieście uspokoiło, i wielu naszych wyłapano, usłyszałem gwar zbliżający się do szopy, w której jak mruc siedziałem. — Ach! ten nieszczęśliwy mundur, że bym go był niezrzucił! Już mi się nawet przyszło, że o nim gadają. Idą prosto ku stajence — drzwi skrzypnęły i wałą się wszyscy, pięciu czy sześciu na mój stryszek. Serce mi biło tak gwałtownie, iż sądziłem, że każde jego drgnienie moskale słyszą. Hultaje! formalnie szukają za mną, — szczęście, że się w rogu schowałem. — Ach Boże! żeby to nasi odwrócili się i tych łotrów spędzili, ale o tem ani myśleć... Truchleję ze strachu w mej norze; — wtem nadjeżdża jakiś jeździec, a usly-

szawszy gwar na strychu: — „*Katoryj tam?*“ zapytał.

— *My, Wasze błahorodie!* odpowiedzieli.

— *Czto wy tam dziełajecie?*

— *My iszczem Polakow!*

— *Wrosz! Wy wierno zabierajecie furaz dla łoszadiej od chaziainow? Razwie wy nie znajecie strogaho przykazania generała, daby ot nich niczoho bezdzeniežno nie brat. — Siejczas ubierajties ot tudowa!*

I moskale w milczeniu ze strychu zleźli — jeden jeszcze tylko pozostał i w słomie gmerał. — Usłyszał to mój wybawiciel i zapytał:

— *Katoryj tam ostałsia?*

— *Warablec wasze błahorodie!* odpowiedzieli.

— *Sleś siejczas, jesli nie chcesz palkami wziat!*

Waroblec zlął i duch we mnie wstąpił, ale co się z mazurem na dole dzieje? pomyślałem.

Zmęczony, zgłodniały i stłuczony koniem adjutanta, usnąłem. — Musiałem krzyczeć przez sen gdyż śniło mi się że mię złapali, bili i na Sybir pędzili. — Około północy przebudziłem się, wylałem z kryjówki i gdy wiatr wiejący przez dziury w dachu orzeźwił mię cokolwiek, przyszła mi chętka wynieść się z tego miejsca; opodał zapamiętałem że ciągnął się las, — przemyśliwa-

łem teraz nad tem, jakby się dostać do niego! — Lasami mogłem się przekraść do Zawichostu a stamtąd do Galicji. Wracać do Warszawy nie było już po co, wiedziałem niestety, że znajdowała się już w ręku wrogów! — Lecz nuż trafię na wedetę moskiewską lub patrol?... Targany podobnemi myślami wlałem napowrót do mojej kryjówki i powtórnie usnąłem.

Przebudziwszy się, poznałem po gwarze, że już dzień na dobre zawitał.

Poranek przeszedł mi jeszcze jako tako, ale im bliżej południa, tem sytuacja moja stawała się przykrzejszą — gdzie bowiem szukać schronienia przed słońcem, które gwałtownie operowało przedzierając się przez mnogie otwory w dachu, że cały mokry od potów nareszcie formalnie dusić się począłem. Mój Boże! żeby choć parę kropel wody na spalone usta!..

Zacząłem odgartywać słomę, aż tu słyszę jakieś szepty na stryszku ale nie mogę dojść w jakim języku są prowadzone? — W stajni słyszę parskanie konia... Kięż lichol! pomyślałem: może to dragon na kwaterze? Męczyłem się jeszcze czas jakiś, nakoniec brakło mi tchu i wyskoczyłem zdeterminowany na wszelki wypadek.

Powiodłem w koło okiem, ale nikogo nie było; — zapewne, myślałem, dragon zlaźł ze stryszku

i udał się do swego konia, — niechże tam sobie czeka z Bogiem, — a orzeźwiwszy się trochę na przeciągu powietrza, chowam się powtórnie do mego schronienia lecz już nie tak głęboko. Jeszcze nie zanurzyłem się nawet do połowy — gdy wtem słyszę ponowny szelest słomy i widzę podnoszący się jakiś czarny łeb z świecącymi oczyma, jakby u Kirgiza... Baszkir zapewne, pomyślałem, ale kryje się równie ze mną — przyskakuję więc do niego i pytam po cichu: „*czto ty zdzieś szatajiesz sia?*”

— A, to ja — brzmiała odpowiedź w polskim języku.

Był to mazur w stajence znajdujący się, który pocił się nie mniej odemnie, a że prochy obeschły mu na twarzy i nadawały mu barwę popielatą murzyna, łatwo go wziąłem w pierwszej chwili za Kirgiza. W kryjówce swej był mniej szczęśliwym odemnie, pokazywał mi bowiem drasnięcie na skórze otrzymane przy wczorajszym sondowaniu słomy pałaszem, i przytem opowiadał, że to on rozmawiał z chłopcem i dla zasiągnięcia języka gdzie moskale obracają się, wysłał go na zwiady.

Wkrótce też zjawił się chłopczyzna może 12-letni z doniesieniem, że moskale nie długo już odejdą i wcale się nie dziwił, gdy nas dwóch zamiast jednego zastał. W parę minut potem widzie-

liśmy odchodzący jeden szwadron dragonów, który się był został dla wyłapywania niedobitków.

Po odejściu moskali pierwszą moją czynnością było wydobyć ubranie z kąta, — ubrałem się więc ale brak mi czamarki... Cóż robić? trza iść bez niej! Chłopczyna spoglądał ciągle na moje krzątanie się i widząc, że mi nie dostaje wierzchniego ubrania, skoczył do chaty i przyniósł z sobą mój własny mundur.

— Bógże ci zapłać moje złote dziecko! Kiedyżes ty go sprzątnął? zapytałem zaciekawiony.

— Wczoraj podczas zamięszania i wrzawy patrzyłem z dziećmi przez okno — odpowiedział. — i widziałem was uciekających i pana, jakes własny mundur zrzucił i skrył się do stajni. Obawiając się, ażeby po leżącym przed budynkiem mundurze moskale nie znaleźli panów, wybiegłem i sprzątnąłem go...

Mój Ty Wielki Boże! pomyślałem, drugi raz już mię ocalasz!..

— Dziękuję ci serdecznie, pocziwe dziecię, odrzekłem rozrzewniony, ocaliłeś mię i towarzysza! I ze łzami w oczach uściskałem chłopca.

Pojałem obecnie, dla czego chłopczyna tak szybko wynalazł mazura, i nie dziwił się, gdy zostawiwszy jednego, po powrocie dwóch nas ujrział.



Ubrałem się więc w mundur i we dwóch ruszamy ku lasowi, ale chłopiec każe mi wołać innych kolegów, bo mówi, — w tych fasolach — tam w szuwarze i po szopach jest jeszcze kilku.

— Wiara za mną! — huknąłem, i w momencie zebrało się nas sześciu; — po kwadransie drogi byliśmy już w lesie zupełnie bezpieczni...

Opuściwszy Lipsko, które, że tu muszę zaprzeczyć pamiętnikom hr. Komorowskiego, nie paliło się wcale, szliśmy dni parę prawie ciągle samymi lasami aż do Zawichostu, gdzie zastaliśmy jakiś mały oddziałek partyzancki.

Przyszedłszy do Zawichostu, zameldowałem plackomendantowi, oficerowi sztabowemu starej daty, siebie i moich rozbitków i ten był tyle łaskaw, że ulokował nas po kwaterach wydając zarazem listę do fasowania żywności, której nie było.

Myśl powziętą po owej pamiętnej dla mnie nocy na stryszku, nadszedł wreszcie czas zrealizować, — to jest, przyprowadzić do skutku zamiar dostania się do Galicyi i tam zaopatrzywszy się w konia i pieniądze, na wypadek gdyby wojna dłużej trwać miała, znowu wrócić. W tym celu udałem się do plackomendanta i proszę go o udzielenie mi urlopu, lecz nietylko że urlopu dać mi

nie chciał lub nie mógł, ale nawet gdy mu powiedziałem, że wojna prawdopodobnie na ukończeniu, coś na kształt niegdyś plackomendanta w Zamościu zagroził.

Odszedłem więc zniechęcony do wszystkich weteranów i szukałem sposobności dostania się na drugą stronę Wisły — do Galicji. Chodząc tak po ulicach miasta, słyszę dalekie strzały działowe w kierunku północno - wschodnim. Idę do plackomendanta i pytam go, lecz ten o niczem nic nie wie i nic nie słyszał. W kilka godzin ponowiły się strzały — już wyraźniejsze... I wtedy dopiero zniewołony plackomendant do wysłania oddziału kawaleryi dla zasięgnięcia języka, otrzymał wiadomość, że generał Romarino cofa się ze swoją armią ku Zawichostowi. Równocześnie otrzymał rozkaz budowania mostu na Wiśle.

W czterdzieści i ośm godzin stał Romarino już wprost Zawichostu, gdzie dopiero materiały pościągano i myślano rozpocząć budowę mostu.

Pod Zborowem, nad granicą austryjacką popsuły obie strony dużo nabożów działowych bez żadnego rezultatu, chyba że Zborów podpalony granatami moskiewskimi, zgorzał.

Kilkunastu maruderów pieszych okazało się za Wisłą w nadziei przepłynięcia się do Zawichostu, lecz niebawem nadbiegła czereda kozaków

łapiąc nieboraków w oczach naszych, — porwałem więc karabin od pierwszego lepszego z naszych żołnierzy, którzy byli wzdłuż Wisły rozstawieni i strzeliłem kilka razy do Kozuniów przez Wisłę, lecz wkrótce zakazał plackomendanci strzelania. Dwóch tylko z owych maruderów ocalało, — jeden skoczył do Wisły i przyplłynął do kępy, stąd łódką do nas się przeprawił, drugi zaś uciekając schronił się przed ścigającym go kozakiem do budki granicznej austryjackiej, — wziął prawdopodobnie karabin od żołnierza w budce będącego, przypuścił kozaka na kilkanaście kroków i wypalił, poczem kozak skurczony wolno odjechał. Wypadek ten cieszył nas tembardziej, że mógł nie powstaniec ale sam żołnierz austryjski do kozaka strzelić — marudera karabin widocznie był próżny gdy do budki uciekał.

Prócz owych dwóch wspomnianych, przeprawiło się do nas kilku oficerów z korpusu Romarina a między tymi jeden doktor, z którym znajomość w korpusie Dwernickiego zawiązałem. Od niego dowiedziałem się, że Romarina wysłano przed wzięciem Warszawy, jakby umyślnie gdzieś ku Brzesciowi litewskiemu, dokąd pędził przed sobą i bił jakiś mały korpusik moskiewski i że gdy Warszawa w niebezpieczeństwie była, otrzymał rozkaz dążenia ku stołecznemu miastu, lecz w drodze

dowiedział się, że stolica została wziętą. Wtedy szedł Romarino prawym brzegiem Wisły ku Zawichostowi odcinając się temu samemu korpusowi, którego niedawno przedtem bił i pędził przed sobą, a który go teraz cofającego się, acz nie bardzo śmiało, z tyłu niepokoił.

Pod tę porę znajdował się korpus Samuela Różyckiego w miasteczku Kunowie i Rüdiger zawarł z nim kilkudniowe zawieszenie broni, które tem chętniej Różycki przyjął, ile że korpus jego znajdował się w opłakanym stanie i lichej pozycji.

Tymczasem Rüdiger zostawiwszy mały oddział wojska dla obserwacji korpusu Różyckiego, przeszedł z całą siłą swoją Wisłę, tu połączył się z korpusem za Romarinem maszerującym, przyparł go do granicy austryjackiej i nareszcie zmusił do przejścia jej w nocy pod Zborowem.

Przy takim składzie rzeczy nie miałem przychylny wyczekiwać czegoś w Zawichoście, więc nie pytając już nikogo o urlop, wyjechałem rano w towarzystwie doktora, o którym wyżej wspomniałem, do Sandomierza, skąd przenocowawszy, dalej ku Krakowowi bądź to podwodami, bądź piechotą dążyliśmy. Za Igołomią — komorą obwodu krakowskiego — zastaliśmy w wiosce, podobno Stobnicy formujący się szwadron Legji nadwiślańskiej pod dowództwem rotmistrza Rozwadowskiego. Szwa-

dron ten składający się z samej prawie szlachty galicyjskiej, między którymi wielu znajomych znalazłem, był już kompletnie gotów do wymarszu na linię bojową, i po lustracyi szwadronu, mającego na dziedzińcu dworskim drugiego dnia w pełnym rynsztunku wystąpić, miał rzeczywiście wyjść w pole.

Po śniadaniu więc we dworze, gdzie nas gospodyni domu, pani pułkownikowa z piękną córką serdecznie przyjmowały, wyszliśmy wszyscy ten szwadron pierwszy raz w całym rynsztunku na koniach występujący oglądać, i w istocie należało go podziwiać. Wszystko było tak zgrabne, tak piękne, że czuję się zniewolonym opisać czytelnikowi przynajmniej mundury. Kurtki granatowe z amarantowemi rabatami i białemi wypustkami, — makowe pantaloney z dwoma lampasami amarantowemi, wszystko z cienkiego sukna i na każdego jak ulał zrobione, tworzyły ubranie; — kaski, zwykła ułanka amarantowa z białymi kordonami odbijały prześlicznie — do tego dodać piękne i dobrze utrzymane konie — wszystko to sprawiało nadzwyczajny efekt — chociaż w duszy każdy sobie myślał: czy to się już na co przyda? I właśnie coś w tym sensie gospodyni domu do mnie wyrzekła, gdy żołnierz na wedecie stojący wleciał na podwórze z wiadomością, że moskale idą! W mi-

nucie było podwórze puste, tylko ja i pani domu z załamaniem rękami staliśmy w środku, a szwadron jak siedział na koniach, tak też pomknął na nich do Krakowa...

Cóż mam z sobą począć? Wisła pareset sążni oddalona — gdyby tylko czółno jakie takie się znalazło, za kwadrans mogę być już w Galicji, pomyślałem — i piechotą ku Wisle pobiegłem. Przy brzegu znalazłem zamknięte czółno, patrzę więc za właścicielem i tego w najbliższej chacie odszukawszy, proszę by mię na drugą stronę przewiózł. Pocziwy gospodarz uspokaja mię, że nie ma się czego lękać, bo gdyby na górze we wsi zjawili się moskale, mamy dosyć czasu na przeprowienia się do Galicji, — tymczasem prosi do chaty, stawia wódkę, chleb i masło na stół i pije w moje ręce. Napilem się trochę, ale jeść z niecierpliwości nie mogłem. „Bo widzicie — rzekł — ja muszę sam wprzód czółnem na drugą stronę popłynąć, ażeby się z żołnierzem, których łańcuch wzdłuż Wisły jest rozciągnięty, umówić i dać mu parę złotych, bo inaczejby strzelił. Ja ich tam znam i da się wszystko zrobić.“

Wiadomość ta popsowała mi jeszcze więcej apetyt — żołnierza trza przekupić, a ja wyszeptalem się z pieniędzy zupełnie. Wpadam na koncept i chcę posłać do pani pułkownikowej z prośbą o poży-

czenie kilkudziesięciu złotych. — wydzieram więc kartkę z pularesu, piszę ołówkiem, że jestem w krytycznem położeniu i proszę o pożyczanie mi małej kwoty, którą z podziękowaniem z Galicji zwrócę. Zapisaną kartkę doręczyłem gospodarzowi dla odniesienia do pani pułkownikowej właścicielki tego majątku.

— A cóż wy tam napisali? zapytał gospodarz.

Przyznałem się mu, że nie mam ani grosza i chcę od niej pożyczyć 50 złotych.

— A to nie warto dla takiej bagateli chodzić! Ja wam pożyczę, bo wiem, że nie zechcecie mojej krzywdy — bądźcie więc spokojni i posilcie się — a ręczę, że włos wam z głowy nie spadnie.

Zdumiałem się nad taką pocziwością krakowiaka, uściskałem go i wziąłem się do jada, gdy raptem drzwi się otwierają i wchodzi kapral austrijacki.

— Niebo opiekuje się mną, pomyślałem ujrzawszy wchodzącego — przez niego da się moja przeprawa przez Wisłę łatwo uskutecznić.

Próżna nadzieja! Kapral, przystąpiwszy do mnie w mundur ubranego, opowiada o swojej awanturze z porucznikiem, który go ciągle prześladował, — dziś — mówi, przyszło do ostateczności i gdy mi powiedział: „*Du polnische Sau*“ ciąłem go pa-

łaszem przez pysk, poczem skoczywszy w Wisłę, przepłynąłem pomimo kilkakrotnych strzałów szczęśliwie na tę stronę. A teraz bracie prowadź mię do armiji bym się jako austriacki piechur do piechoty polskiej zaciągnął.

Wysłuchawszy go, ubolewałem nad losem nieszczęśliwego, — nakoniec zmuszony byłem powiedzieć mu, że nasza wojna skończona, że Moskale tylko co nie widać i że ja przyszedłem do tego gospodarza, ażeby mię czółnem do Galicji przewiózł. — Trudno wystawić sobie desperację człowieka w jaką popadł po mojem odkryciu, — płakał, załamywał ręce — nareszcie spostrzegłszy jakąś strzelbinę gospodarza na ścianie wiszącą, uspokoił się, — widać powziął jakieś postanowienie i rzekł, że widzi jeden tylko sposób ratunku... — potem popatrzywszy przez okno na płynącą Wisłę, zdawał się być zupełnie uspokojonym i zdecydowanym — nakoniec żegnając nas, odchodzi.

— A gdzież to chcecie iść? pyta gospodarz. Jeżeli dobrze odgaduję, macie zamiar rzucić się do Wisły! — Lecz tego nie rób bracie, bo ja cię z tego nieszczęścia wyratuję. Zrzuć zaraz ten swój mundur i przebierz się po naszemu, będziesz z nami tu na chleb pracował, a ani Niemcy ani Moskale nic o tem wiedzieć nie będą.



Wyrzekłszy powyższe słowa, dobył ze skrzyni ubranie i w momencie był mój kapral nie do poznania! — Istny krakowiak, tak że się sam uspokoił, napił się wódki i opowiadał że mu ta praca nie jest obcą i z chęcią między tak pocziwymi ludźmi zostanie.

Czyn tak szlachetny zacnego Nadwiślanina wlał i we mię otuchę, bo gdzież sądzić o zawodzie lub zdradzie tam, gdzie najwyższe dobro w świecie — litość, owa najszczytniejsza cnota ewangeliczna w mojej obecności w tak prostoduszny sposób znalazła zastosowanie! Jeżeli jednemu życie zwrócił — pomyślałem, nie wydobędzie on i mnie dziś z tego położenia?

Gdy tak każdy z nas swojemi myślami zajęty, dało się słyszeć na całej linii za Wisłą kołatanie wart austrijackich.

— To alarm — rzekł kapral, — moskale muszą być gdzieś blisko.

Wybiegamy na dwór i pytamy przechodzącego człowieka, coby za przyczyna była tego kołatania?..

— Za łozami przeprawiają się Polacy przez Wisłę — odpowiedział, — a mnie się przypatrzywszy — dodał w takich samych mundurach i białych czapkach.

— To nasz pułk! prowadźże mię człowiecze! a pożegnawszy poczciwego krakowiaka i kaprała, pospieszyłem za moim przewodnikiem.

Za chwilę minęliśmy łożynę, — pułk nasz przeszedł Wisłę w pław, i już białe konfederatki uwijały się po tamtej stronie rzeki.

Zaiste żadnemu kochankowi spieszącemu po długim rozstaniu do swej lubej nie bije serce gwałtowniej, jak mnie biło, gdy ujrzałem białe konfederatki! Lecz kto nie doświadczył, czyż zdoła pojąć przyjaźń zawiązaną w szeregach? Osobliwie w naszym pułku — wszyscy byliśmy jak bracia — jeden broni drugiego i jeden za drugiego krew swą przelewa! — Tu wspólne szczęście i rozpacz wspólna, — nie dziw więc, że przyjaźń w bitwach zawarta — tak głębokie korzenie koleżeństwa zapuszcza. }

Z pozostałymi końmi oficerskimi i sługami przeprowiłem się wkrótce promem, i radość z jaką witaliśmy się z kolegami została mi żywo w pamięci. Nie spodziewali się współtowarzysze ujrzeć mię więcej, wiedząc że zostałem na placu i że krwią zboczony między naszymi uciekałem; wytłumaczyłem im, że krew, którą byłem zboczony, była krwią Matuszewicza nieboraka, z jego ran mię obryzgała!.. Zdziwiłem się, gdy obydwóch naszych rotmistrzów, którym konie pobito, w Galicji zasta-

łem i dowiedziałem się, że po dwóch na jednym koniu, jak wielu innych wyratowało się od śmierci lub niewoli moskiewskiej, tak że straty ostatecznie nasze większe w koniach niż w ludziach okazały się w rezultacie. Tu dopiero zrozumiałem, dlaczego nam generał piechoty i dział pod Lipskiem nie przyprowadził — byliśmy bowiem dla ocalenia armji na zgubionej poczcie zostawieni! Nareszcie otrzymałem od naszego pułkownika Karola Różyckiego nominację na podporucznika, która podczas mojej nieobecności z głównej armji nadeszła i o tyle przydała się, że podczas kwarantany od austryjaków żołd oficerski pobierałem.

W Batorskiej Woli pod Niepołomicami wyznaczyli nam Niemcy jakąś cegielnię z szopami na koszary, a otoczywszy huzarami niemiłosiernie nas i konie głodem morzyli. Że konie na dyecie trzymali, można sobie tłumaczyć że chcieli je za bezcen kupić i rzeczywiście kupowali, z jakiego jednak powodu nam nic nie przysyłano, tego nie rozumiem. Zgłodnieli, szemraliśmy niemiłosiernie aż tu, pamiętam, zjawia się jakaś niepoczesna figurka niemiecka z kilkoma dużymi koszami rogaków i wódek. Można sobie wyobrazić z jakim pospiechem przystąpiliśmy do tego prowiantu. Jemy i pijemy ile który może, chcąc sobie kilka dni głodnych wynadgrodzić, nareszcie chcemy płacić

i z zadziwieniem słyszymy, że poczciwy Niemiec nie mający nawet wyobrażenia o polskim języku, uraczył nas jedzeniem bez żądania wynadrodzenia. Uczynek ten, i na koniec rozkaz generała austriackiego, bardzo ludzkiego człowieka Fichtla, dany komisarzowi cyrkularnemu, ażeby przody żywność dla ludzi i koni dostarczył, a później dopiero swoje manipulacje pisemne przeprowadzał, nie tylko że nas pogodził z ich rodakami, ale nawet pokochaliśmy się ostatecznie.

Po kilku dniach dopiero wyznaczono oficerom kwatery u gospodarzy gdzie z bronią i końmi pod słowem honoru, że przez czas dwutygodniowej kwarantanny żaden nie wydał się — swobodnie mieszkaliśmy. Nas czterech t. j. Bohdanowicza, Przewłockiego, Zakaszewskiego i mnie ulokowano razem. Na wstępie zaraz zaprowadziliśmy wspólną kuchnię, do której każdy z kolei musiał wiktuałów na jeden dzień nakupić, i gotowaniem się zatrudnić; — trzech więc zawsze było wolnych, i całe dni spędzaliśmy między gośćmi odwiedzającymi nasz obóz pod cegielniami; — dyżurny za to jechał konno skoro świt do bliskiego miasteczka Niepołomic — nakupił co potrzeba było, i spieszył do swojej kuchni, aby się z tem niebardzo miłym zatrudnieniem prędzej ułatwić, i także do obozu podążyć.

Tym sposobem schodziły nam dni przyjemnie — nie wzbraniano nam nawet do sąsiednich wiosek w odwiedzinę jeździć, tak, że w końcu zapomnieliśmy że jesteśmy pod strażą i zdawało się, że nikt na nas nie zważa; — tymczasem wypadek z podoficerem naszym Nudera przekonał nas, że Niemcy nas z oczu nie spuszczaają.

Nudera, były akademik podobno z Międzyrzecza, porzucił szkoły podczas powstania naszego pułku, i zaciągnął się do szeregów jego; — bił się i znosił trudy pomimo swojej młodości jak stary żołnierz — do tego spiewał nadzwyczaj pięknie, tak że stał się w krótkim czasie ulubieńcem całego pułku. Nie dziw więc, że i gościom naszym, szczególnie płci pięknej podobał się bardzo, i raz jednego piękne panie postanowiły wykraść nieszpętnego chłopca.

Skoro się zdawało, że chwila była sprzyjającą i zamiar udać się powinien, — gdyż właśnie wten czas natłok ludzi był wielki i mnóstwo powozów przyjeżdżało i odjeżdżało z gośćmi: — Nudera korzysta z zamieszania, odprowadzając damy, wskakuje przed niemi do powozu i znika między fałdami szerokich kobiecych sukien.

Powóz odjechał widocznie tylko z paniami! Nikomu na myśl nie przyszło, że ktoś na to uważa! Gdyby powozu z miejsca nie puszczono

byłby ten występek jako niewykonany, przynajmniej złagodzoną i można go było w żart obrócić; tymczasem dopuszczono powozowi odjechać i dopiero w drodze zatrzymano go, a nieboraka z pośród zażenowanych dam odebrano. Miał też z tego powodu wiele nieprzyjemności, jak sły-  
szałem.....

Po tym wypadku wzywano nas częściej do odczytania listy, aby się przekonać, czy kogo nie brakuje, — lecz przez dwa tygodnie święcie dotrzymywaliśmy słowa; po upływie tego terminu, gdy na nowo przyrzeczenia od nas nie żądano, zaczęli się koledzy rozbiegać. Ja musiałem jeszcze czekać na suknie cywilne, które u krawca zamówiłem, a moi towarzysze wiedząc o tem, wynieśli się dnia jednego, zostawiwszy mię samego na kwaterze.

Koledzy moi uchodząc, pozostawiali broń i inne rekwiizyta wiszące na ścianie, między którymi znajdował się płaszcz cywilny grubo wato-  
wany porucznika Przewłockiego, co wszystko mogło świadczyć że właściciele tych ruchomości nie oddalili się bez powrotu, i dla tego nikt o nich nie pytał; ja jednak truchlałem z obawy żeby nie odkryto ich ubycia, bo mnie w takim razie niezawodnie uciecby nie dano, — a tu krawiec jak na złość pomimo przyrzeczenia sukni nie przynosił. Nad wieczorem poszedłem sam do niego i prze-

konałem się, że suknie dopiero w nocy mogły być skończone a rano wyprasowane, — dla zachęcenia więc do nocnej roboty, wypłaciłem mu całą należność.

Zmrokiem już wróciwszy do mojej kwatery, zastałem żołnierza w sieniach (czego przódy nie bywało), któremu na zapytanie, gdzie jest reszta towarzyszy, odpowiedziałem że poszli zapewne do swoich kolegów.

Licho się to śpi w takim położeniu! Co moment budziłem się — a skoro świt, gdym wyszedł z myślą udania się do krawca, już żołnierz ów, który był moim wartownikiem jak się okazało, oświadczył mi, że mam z nim udać się do domu propinacyjnego, gdzie sztabsoficierowie austriacy zwykle listę oficerów naszych odczytywali. Na szczęście moje, był tego dnia tak mglisty ranek, że o parę kroków przedmiotów rozpoznać nie było można. — Ubrałem się więc w płaszcz wspomniany Przewłockiego, i poszedłem rad nie rad z żołnierzem do owej propinacji.

Tam zastałem już liczne wojsko i oficerów krzątających się i oczekujących na naszych, coś bardzo zwolna ściągających się kolegów.. Od córki propinatora, która podsłuchiwała rozmowę oficerów dowiedziałem się, że odtąd do każdej kwatery bę-

dzie żołnierz dodany, i że nam nadal nie będzie wolno bez asystencji oddalać się.

— Żle! pomyślałem, trzeba z tej mgły korzystać i wynieść się jak najprędzej. „*Frisch gewagt, halb gethan*,“ panno Juljo! (lubiała bowiem po niemiecku rozmawiać) i złożywszy u niej mój płaszcz, by mi nie zawadzał, wykradłem się do ogrodu — stamtąd przez bardzo wysoki płot na ulicę — pominąłem oddział maszerujących huzarów, których o parę sążni jeno odemnie, nie widząc przez mgłę tylko głosy słyszałem, i znalazłszy się wkrótce poza obrębem placu zboru, przyspieszyłem kroków w kierunku mojej kwatery.

Wtem pędząc tak po cichu, wlatuję na mazure spieszącego na bosaka naprzeciwko mnie, i o mało go niepowaliłem, że aż się zatoczył i przeżegnał nieborak!

— Wybaczcie gospodarzu! to mgła temu winna, — rzekłem, — ale widać że obydwom nam coś spieszno się dzieje!

— Mnie nie bardzo, odpowiedział, — a Pan gdzie tak spieszą?!

— Ja... — Nieodpowiadałem bom sam jeszcze nie wiedział co mam robić! czy iść do krawca, który mieszkał daleko, czy wprost uciekać do hr. Zielińskiej, o której patriotyzmie i rzadkiej wspaniałomyślności słyszałem.



— Bierz licho suknie! pomyślałem, żeby się z tej matni wydostać, a suknie się znajdują!! Słuchaj dobrego człowieka! Co chcesz, żebyś mię do hr. Zielińskiej zaprowadził?

Mazur oglądał mię; — widać, duch mój opiekuńczy szepnął mu że ja nie mam pieniędzy.

— A dacie mi ten płaszcz z siebie, powiedział. — Szczególne! Jeden ten płaszcz, który dla mnie żadnej wartości nie miał — a widać, że i dla Przewłockiego był niepotrzebnym, gdy go zostawił, podobał się mazurowi! Przystałem więc naturalnie z największą chęcią, i zaraz zбочyliśmy z drogi na błonia, potem brnęliśmy przez ogromne błota i trzciny — tysiące kaczek i bekasów spędzaliśmy aż mi się dusza radowała; nareszcie po godzinie może, obydwaj mokrzy od wody i potu, w lesie na suchym gruncie stanęliśmy. Płaszcz ów zostawiony u panny Julji oddałem zaraz po ugodzie mazurowi, bo byłbym go nawet nie dodźwigał.

— Tu możemy sobie odpocąć, nikt nas nie zobaczy, mówi mazur; — posiadaliśmy tedy! Mazur mię o moskali o wojnę wypytuje — ja mu na to tylko krótko odpowiadam, bom zmęczony i głodny; — żal mi także, już nie sukni moich zamówionych, ale tych paru dukatów com za robotę zapłacił, bo byłbym je miał obecnie. Wtem wpadam na myśl, wysłać tego mazura do krawca! — Poczciwy zdaje

się człowiek! nie powinien mię zawieść, — pomyślałem sobie.. Mówię mu tedy, że mam gotowe i zapłacone suknie u krawca (którego on znał), i pytam czyliby nie był tak dobrym udać się po te rzeczy. Dam wam cały mój mundur ze mnie za fatygę!

— A zechce on mi wydać? pyta.

— Wyda z pewnością, bo wam dam kartkę — i napisawszy ołówkiem parę słów, wyprawilem mazura prosząc go żeby się długo nie bawił; — ja zaś tymczasem korzystając ze słonka, które się ukazało, suszyłem się z błota i potu. — Mazur odchodząc zabrał i ów płaszcz, chociaż jeszcze warunku nie dopełnił. — Nie podobało mi się to, ale nie śmiałem mu tego zabraniać, z obawy żeby nieufności nie okazać.

Po godzinie może byłem już zupełnie suchy; obrachowywałem, że mazur za dwie godziny z powrotem być powinien. Zdawało mi się, że znowu godzina zesza, bo zegarka nie miałem, zacząłem nasłuchiwać trochę z niecierpliwością i w ten oczekiwaniu zasnąłem.

Dobrze się przespałem, a mazura jeszcze nie było!!.. Głupstwo zrobiłem oczywiście! pomyślałem sobie; wziął płaszcz, zabierze suknie nowe, które więcej warte jak stary mundur i nie przyjdzie!... Nie wiem nawet jak się nazywa, a choć-

bym wiedział, nie mogę go poszukiwać, o czym i on wie dobrze... Czekam jeszcze z godzinę — słońce już znacznie z południa się pochyliło — a mazura jak nie ma tak nie ma! Ha! stało się! trzeba będzie samemu przez las przedzierać się, bo ani drogi ani ścieżki nie widać — a w moim mundurze będę mógł chyba wieczorem szukać jakiej osady; taki plan sobie układałem, gdy wtem zaszeleściło w krzakach — patrzę w tę stronę, a to pocziwy mój mazur idzie i rzeczy niesie! Nie pamiętam by mię co więcej w życiu nad to cieszyło!.. Uściskałem serdecznie pocziwca — powtarzając to kilkakrotnie, bo dobry mazur prócz rzeczy przyniósł z sobą różne prowjanty i buteleczkę wódki — snać furażowanie jedzenia tak go zabawiło. Jakże ta wódka była smaczną! ten chleb z masłem i sérem — te jaja — to były specyały dla mnie, który po tylu trudach do 4tej godziny z południa jeszcze nic w ustach nie miałem.

Posiliwszy się dobrze, począłem się przebierać, mundur zaś oddałem mazurowi. Epolety i ładownicę chowam do kieszeni jako jedyną drogą pamiątkę z przebytej kampanji, gdy mazur widząc to całuje mię po rękach i prosi żeby mu je darować — sądziłem, że dla srebra to czyni, dla tego upewniać go począłem, iż epolety i ładownica są tylko posrebrzane, a dla mnie będą miłą pamiątką.


Lecz go to nie uspokoiło. — „A na co panu pamiętki? pan i tak nie zapomną — nam co innego! U nas dzieci będą się w święta psebierać i psy-pominać polskie wojsko!“ Nie miałem siły odmówić jego prośbie, i choć z żalem zostawiłem mu te drobnostki tyle dla mnie drogie.

Przed wieczorem jeszcze zaprowadził mnie mój przewodnik do hr. Zielińskiej, gdzie przemocowawszy, zostałem do państwa Wierzchowskich, a następnie do pani Komarowej odesłany. W domu pani hr. Zielińskiej musiałem się wpisać do książki, w której wszyscy oficerowie polscy, doświadczający gościnności tej zacnej pani zapisywali swe nazwiska — była tam ich już wówczas spora lista.

U pani Komarowej zastałem Bohdanowicza z którym tak jak razem wyjeżdżaliśmy, tak też i razem wracaliśmy do domu; z tą tylko różnicą, że powracając straciłem już najdroższy mój klejnot jaki szczęśliwy wiozłem na pole walki t. j. straciłem nadzieję, iż się przyczynię do oswobodzenia ojczyzny mojej. Stało się inaczej — i Boża w tem wola! Pamięć jednak służby mojej w szeregach wojsk polskich, dziś jeszcze błogą dumą mię napawa, i nasuwa najśłodsze marzenia o trudach choć bezowocnych, jakie poniósłem dla ukochanej Ojczyzny.

Boże! — dozwól każdemu Polakowi doznać tego szczęścia.

W dziesięć lat może później, przejeżdżając przez Tarnów dowiedziałem się od wojskowych że epolety i ładownica u mazura, a płaszcz u córki propinatora są zawsze jako drogie pamiątki przechowywane.



## IV.

### Zakończenie.

Na tem kończę moje pamiętniki, a kończę je w pół wieku niemal od chwili gdy się do nich materjał nagromdzał z tem samem uczuciem boleści, jakie podówczas nas wszystkich opanowało.

Dla czego nasza rewolucja, przy tylu zasobach, takiej liczbie dzielnego i bitnego wojska, tak smutny koniec wzięła, różnie o tem piszą. Niezaprzeczenie przyczynili się do tego głównie starzy generałowie, ogółem stara służba wyższa, których przy braku energii, jakaś nieufność i niechęć opanowywała. Tak, generał Samuel Różycki w końcu zebrawszy około osmiotysięczny korpus, nigdzie nie postawił czoła nieprzyjacielowi, tylko ciągłymi manewrami i odwrotami demoralizował wojsko, i do strat niepowetowanych przyprowadzał. Miał on wprowadzić wojsko po największej części świeżej organizacji, które jak widzieliśmy przed granatami pierzchnęło — ależ takie wojsko należało przódę oswoić i nie narażać w pierwszym jego

wystąpieniu przed nieprzyjacielem tam, gdzie potrzeba już wytrawnego i ostrzelanego żołnierza.

Pod Iłżą trzymała się dosyć dzielnie piechota legji litewsko-ruskiej, bo bitwa formalna nadaje żołnierzowi otuchę — chęć spróbowania się, zmierzenia sił własnych! A pod Chodczą w rejteradzie z taką łatwością rozbitą została! Romarino także mając dwudziesto-tysięczną dzielną armję, i 40 dział daje się wtłoczyć do Galicji przez armję, która może i 30 tysięcy nie miała! A przecież wiemy że wojsko nasze gdy było śmiało i dobrze prowadzone, nieraz trzy razy silniejszego nieprzyjaciela rozbijało!

W roku 1863 sama młodzież bez wojska regularnego, do tego lichu odziana i uzbrojona gromiła nieraz przemagającego nieprzyjaciela, a w końcu wszyscy prawie dowódcy wyginęli... Takiego poświęcenia brakowało naszym wodzom!

Byli jednak w tej liczbie i starsi generałowie przeciwko którym coś powiedzieć byłoby grzechem, — ale ci znajdowali się w mniejszości.

Pół wieku niemal upłynęło od tej pamiętnej chwili, a jednak tak żywo rysują mi się w pamięci owe czasy, jakby to wczoraj się działo! Są to najprzyjemniejsze chwile życia mego, które z rozkoszą przywołuję; — owe staczane bitwy, owe uniesienia po wygranych, mój Boże! jak one wysoko

wznosiły ducha — jak go krzepiły i zagrzewały... Dziś starcowi w nałóg już weszło, każdego poranku odśpiewać na naszą nutę pułkową: „Kiedy ranne wstają zorze...” i galopując na koniku korci koniecznie zanucić „*Hej kozacze w Imia Boha*” — ale wkrótce zamilkam, — nie ma pułku — nie ma Nudery — śpiew taki tylko boleść rodzi i smutek sprowadza do duszy.

A teraz bywajcie mi zdrowi towarzysze moi! Mała garstka została nas przy życiu — znacznie-szy poczet poprzedził nas w wieczności... Niedługo i my pójdziemy za nim, — i nie wiadomo, czy właściwiej Wam żyjącym, kłaść tutaj słowa pożegnania — czy owym — tam w górze — pełne otuchy i wiary: „Do zobaczenia!”

Bołszowce, w Maju 1875 roku.





